

Morawski.

Franciszek Dzierżykraj - Morawski.

PISMA ZBIOROWE

WIERSZEM I PROZĄ.

TOM II.

BAJKI. WERSZE DROBNE.



POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1882.

K-109/06. p

BIBLIOTEKA UNIERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0490221



108131 ✓

Drukiem J. I. Kraszewskiego (Dr. W Łebński) w Poznaniu.

VII.

B A J K I.

OKULARY.

Piotr, Jan i Idzi, zawsze sprzeczni w zdaniu,
Chociaż w pożyciu bardzo zgodni byli,
Po dobrém winie i smaczném śniadaniu
Wesoło sobie gwarzyli.
Naprzód o polskich wadach i zaletach,
O cywilnych, o wojskowych,
O autorach starych, nowych,
A najwięcej o kobietach.
Szeroko rzeczy zaczęli rozwodzić —
Cóż, kiedy w niczém nie mogli się zgodzić;
Im dłużej trwała rozprawa,
Tem większa wrzawa.
Przyszło nareszcie i do polityki;
Jeszcze większy hałas, krzyki,
Różne zdania, różne sądy,
Ten wołał dawne, a ten nowe rządy;

Jedni drugich nie słyszeli,
A wszyscy krzyczeli.
W tém dwoje okularów leżących na boku
Koniec téj wielkiej położyło zwadzie;
Jan bierze jedno i gdy na nos kładzie
Własnemu dziwi się oku:
Wszystko wielkie, okazałe;
Piotr bierze drugie, wszystko widzi małe;
Lecz ich największe zdziwienie uderza
Kiedy ów Idzi, zawołany Idzi,
Jedne po drugich przymierza
I nic nie widzi.
Aż pewien starzec, który w kącie siedział
Cały czas płochéj obecny rozmowie,
Tak im powiedział:
Moi Panowie!
Wierzcie co szczerem sercem powiada wam stary,
Każdy na świecie ma swe okulary;
Jaki nim przesąd lub namiętność rządzi,
Tak przez nie innych, tak i siebie sądzi,
Wreszcie przez jakie przeszedł doświadczenia,
Tak patrzy na świat i tak go ocenia

ZAJĄC I NIEDŹWIEDŹ.

Nie tylko ludzi łączy zapał święty,
I między zwierzęty
Bywa przyjaźń gorąca.
Dziwnym trafem, niedźwiedź bury
Nadzwyczaj czuły z natury,
Tak się przywiązał mocno do zająca,
Zając do niego nawzajem,
Że ich przyjaźni nazywano wzorem:
Był to Pollux z Kastorem.
Cóż, kiedy Pollux strasznym był mazgajem.
Ilekoć z swoim zapałem wyjedzie,
Ilekoć swoje uczucia niedźwiedzie
W zajęcze serce chciał przelewać tkliwie,
Zawsze go osapał,
Odrapał,
Zawsze nasz zając skrzeczał przeraźliwie.

Lecz tu nie koniec jego smutnej doli,
Bo gdy raz w cieniu topoli
O wspólnym rozmawiali losie,
A o marnościach świata rozmyślając,
Zdrzymnął się zając,
I mucha siadła mu na nosie;
Niedźwiedź każdej pory,
Do przysługi skory,
Nagle się porywa;
Straszliwie zaczął się dąsać:
Tak mi mojego przyjaciela kąsać!
Oj czekaj gadzino złośliwa,
Nie wiesz czem to pachnie.
Jak się odsadzi, jak machnie
Tak ją dobrze zagrabił,
Że razem muchę i zająca zabił.

Każdy kto w przyjaźń nierozważną wchodzi,
Nudy i będę pewno sobie kupi;
Mądry przeciwnik często mniej zaszkodzi,
Niżli przyjaciel serdeczny a głupi.



RYBA LATAJĄCA.

Tam kędy w pośród hucznego odgłosu
Ocean swe bałwany o skały roztrąca,
Pewna rybka latająca
Niekontenta z swego losu,
Z ciężkiem sercem, skłopotana,
Do swojej babki sędziwej przybywa
I tak się do niej odzywa:
Ach! babulu ukochana
Racz się nademną zlitować,
Już nie wiem gdzie się schować,
Gdzie śmierci uchronić.

Zaledwie w górę ulatywać pocnę,
Zaraz mnie orły żarłoczne
Zaczynają gonić.

A kiedy znowu (przestraszona w górze)
W morzu się zanurzę,
Sroższa delfinów gromada
Zewsząd mnie opada, —
Takie to losy twoją dręczą wnuczkę.

A ona taką dała jój nauczkę:
Moje dziecię,

Kogo na tym świecie
Orłem albo delfinem nie stworzyły nieba,
Takiemu średniej dróżki trzymać się potrzeba.
Czyń tak, a w życiu pewnej użyjesz swobody,
Płynąc blisko powietrza, lecąc blisko wody.

LATARNIA I ŚWIECA.

Niechaj się każdy wprzód dobrze ocenia,
Niżeli płochy zamysł go ogarnie.
Zachciało się raz świeczce większego znaczenia;
Zbrzydziła sobie latarnię.
Ja mam, rzecze, z mém światłem tak czystem, tak jasnem,
Zawsze siedzieć w tym lochu i brudnym i ciasnym,
Kto zrodzony do kąta niechaj siedzi w kącie,
Ja chcę sobie na większym jaśnieć horyzoncie;
Fortuna śmiałym sprzyja! mogę zmienić postać;
Mogę gwiazdą, księżycem, mogę słońcem zostać!
Gdy wtém się od latarki otworzyły drzwiczki;
Ledwie pierwszy wiatr dmuchnął, już nie było świeczki.
Tak nie jeden, co w domu mógł żyć użytecznie;
Pnie się na wielki urząd, chce znaczyć koniecznie;
Lecz gdy stanie na szczycie, jak ta świeczka właśnie,
Za pierwszą przeciwnością chwieje się i gaśnie.

PAN I KUCHARZ.

Nie sądź, gdy sam nie piesz, mówią autorowie,
Słuchajmy co w tój mierze nasza bajka powie.
Pewien Pan raz swojego kucharza strofował
Że mu obiad zbyt kwaśny i pieprzny zgotował,
Że wszystko ta nieszczęsna popsuła przesada.
O zgrozo! o zgorszenie! — kucharz odpowiada —
Jakże można mój Panie tak dalece błdzić,
Nie umiając gotować o potrawach sądzić?
Pańskie zdanie zupełnie śmieszne i opaczne,
Musisz jeść co ci dają i wierzyć że smaczne.

PIES I PSZCZOŁY.

Jestto cnota nad cnotami
Trzymać język za zębami —
Stare powiada przysłowie.
Wszyscy jednakże smakujem w obmowie:
O cudzych grzechach rozmowa tak słodka.
Raz pewien wyżeł przebiegły i śmiały,
Wielki bazarz, wielki plotka,
Przytem lizuś doskonały,
Proszony czy nie proszony,
Latał na wszystkie strony,
Wiedział wszystkie zwady, sprzeczki,
Wszelkich skrytości dociekał;
Słowem u wszystkich ogryzał kosteczki,
A potem wszystkich oszczekał;
Suczki z suczkami,
Psiarnie z psiarniami
Zwaśnił, zniechęcił i skłócił;
Cały porządek przewrócił.

Wtém raz szczególna ciekawość go wzięła,

Jakaś pokusa go bodzie

Zajrzeć do ula który stał w ogrodzie.

Najprzód ostrożnie bierze się do dzieła,

Obchodzi, wacha, skrada się, przemyka,

Ale zaledwie nos wtyka,

Cała pszczoł gromada

Z straszliwym brzękiem wypada;

Wyżeł w nogi! — lecz te w złości

Tak go cięły bez litości

To po brzuchu,

To po uchu,

To po pysku, to po grzbiecie,

Że już nie wiedział o świcie.

Wtém mu jedna w nozdrze wpadła,

I tém mu dojadła;

Szarpie się, rzuca i wyje,

Nosem ziemię ryje,

Jęczy — na wszystkie strony

Wykręca się i wywija,

Wreszcie leci jak szalony,

I łeb o kamień rozbija.

I dobrze mu tak było. Kto nadto ciekawy,
Kto nos swój niepotrzebnie w cudze wtyka sprawy,

A wszystkich czerni szkaradnie,

Prędzej lub później w taką łapkę wpadnie,

Że będzie wgardą i pośmiechem świata.

Taka to Wścibskich zapłata.

SKOP, WIEPRZ I KOZA.

Skopa przy wieprzu, a wieprza przy kozie,
Grzesio na jednym osadziwszy wozie,
Na jarmark z niemi wyruszył;
Wieprz całą drogę przeraźliwie kwiczał,
Krzyczał, ryczał,
Ledwie Grzesia nie ogłuszył.

Drugie zwierzątka słodsze z przyrodzenia,
Dobre, pocziwe stworzenia,
Widząc że pewne i bezpieczne były,
Z dziwem na wieprza patrzyły.

Ciszéj! Grześ woła, krzykaczu przekłéty,
Zkąd ci te wrzaski, lamenty;
Patrz, jak się twoi sprawują sąsiedzi:
Skop ani beknie, koza cicho siedzi;
To mi rozsądkiem się zowie!
Głupstwem! wieprz odpowie.

Siedzą, nie beczą, bo nie myślą o tém,
Co je czeka potém;
A wreszcie słusznie może mniej się boją,
Ostrzygą skopa i kozę wydoją.
Ten ich los zwykle spotyka.
Lecz ja, który z przeznaczenia
Zdam się tylko do zjedzenia,
Wiem że jadę do rzeźnika.

Najszczęśliwszym bywa
Ten co najmniej przewidywa.

DWIE CHMURY.

Pocóż gmachu potężny wzniosłeś się do góry!
Tak rzekła strasznie grzmiąca do spokojnej chmury;
Cóż znaczysz? nikt się twojej wielkości nie boi;
Mnie to raczej nad ziemią panować przystoi,
Ja to przecie porządnie kiedy ryknę sobie,
Co to zaraz hałasu i trwogi narobię!
Druga na to: nie przeczę twojej wielkiej chwale,
Nigdy ci nie wyrównam, ryczysz doskonale;
Gdy jednak deszcz mój cichy suche niwy zrosi,
Ileż głosów wdzięczności ku mnie się podnosi!
Wierz mi, nie hucz tak bardzo i przestań mnie winić,
Na to jesteśmy w górze aby dobrze czynić.

WYSTRZAŁ.

Co za szczególny trafunek:
Kiedym strzelał w pośród lasu,
Choć był tak słaby ładunek,
Tylem narobił hałasu,
Taki się łoskot rozszerzył,
Jak gdyby piorun uderzył!
Wszystkie drzewa, wszystkie skały
Straszny huk mój odbijały,
Każde echo go rozniosło,
Każde stokroć powtórzyło,
I tak ciągle rosło, rosło,
Że nigdy końca nie było.

Teraz gdym wyszedł z gestwiny
I na czystym polu stoje,
Chociaż powiększam naboje,
Strzelam, pukam od godziny,

Strzelba moja jak na lichu
Głuchy tylko huk wydaje,
Ledwie go słyhać o staje,
I za minutę już cicho.

Może i z sławą tak bywa!
Wiedzieć gdzie się pokazywać,
Gdzie i kiedy się odzywać,
Tem to niejeden wygrywa,
Tem się nad innych wynosi,
Nieco hałasu i wrzawy,
Kiedy je echo rozgłosi,
Jakże podobne do sławy!



108131

Jakie to były głowy i figury,
Co to były za osły!
A lis mu na to: jakżeś nierozsądny,
Zawsze twoich chwalisz przodków,
I ty nie jesteś z wyrodków,
I z ciebie osieł porządny!

OSIEŁ.

Tak się raz osieł dąsał,
Tak się też z innych natrząsał,
Taki był pyszny, zuchwały,
Że go zwierzęta nie poznały;
Pojąć nie można było,
Co mu się zrobiło.
Nakoniec wszystkim dowodził
Że się szlachcicem urodził;
Dwie godziny o tém gadał:
Powiadał
Co to miał przodków, a zwłaszcza jak sławnych,
Jak niezmiernie dawnych,
Wyliczał lata za laty,
Jak się ciągnęły jego antenaty,
Jak się wznosiły do góry,
Coraz w większą sławę rosły,

BĘBENEK I RÓŻA.

Józio od samego ranku
Latał, bębnił bez ustanku,
Nie mógł się swoją nacieszyć zabawą;
Gdzie się tylko ruszył,
Wszystkich swoim hukiem, wrzawą
Gonił, wypędzał i głużył;
Tak się radował, zapalał,
Ledwie nie szalał.

Lecz gdy nareszcie po długiej swawoli
Już się nalatał, nabębnił do woli,
Staął nagle zadumiały;
Dziwna go jakaś ciekawość porywa,
Dla czego ten bębenek mały
Tak się zabawnie odzywa?

Bierze go, patrzy, ogląda chłopczyną,
Zgłębiać zaczyna.....
Nareszcie z miną zawoła radośną:
„W środku coś siedzi, co huczy tak głośno!”
A ledwie temu uwierzył
Tak z całej mocy uderzył,
Że przedziurawił sam środek bębena.

Na drugiej stronie spokojna Helenka
Wdzięcznie stolistnej dziwiła się róży.
Któż wie, do siebie powiada,
Czy też w istocie ten kwiat pełny, duży,
Z stu się listków składa?
Któż je rachował? może ludzie błędzą
I z pozoru sądzą;
Nie trzeba zaraz uwierzyć tak śmieie,
Sto listków — jest to bardzo wiele!
A więc się swoim liczeniem zajmuje,
Listek po listku, wyrывa, rachuje;
By się nie zmylić, układa w porządku
Dziesiątek przy dziesiątku.
Zupełną liczbę znajduje.

Lecz cóż się dalej naszym dzieciom stało?
Jedno i drugie swą stratę poznało;
I do czego ciekawość na tym świecie służy!
Józio płakał bębena, a Helenka róży.

Chronicie się ludzie zasłony rozdierać,
Idźcie za lubem omamieniem śmiało;
Kto chce rozkosze zgłębiać i rozbierać,
Już go szczęście pożegnało.
Cały badań naszych skutek
Gorzka prawda, ciężki smutek.

— ❖ —

WISŁA.

— — —

Sarmackiej Wisły zbożopławne wody
W twarde ściąwszy lody,
Cieszyła się sroga Zima
Że je w swoich więzach trzyma.
Patrzcie, wołała, patrzcie dumne wały,
Coście w téj śmiesznej wolności bujały,
W jakich jesteście okowach!
Oto was każdy przychodziń
Depce, rąbie codzien.
I byle Kałmuk jeździ wam po głowach;
A wy cóż na to? ani mruknąć śmiecie;
Takie to was jarzmo gniecie,
Tak to Zima włada!

Prawda, że jesteś niezmiernie zażarta,
Tak jój z pod Tatrów na swój urnie wsparta,
Stara Wisła odpowiada.

Nie wszędzie przecież cięży twa potęga,
Zawsze tam, zawsze pod tym twardym lodem
Śmiały i wolny nurt mój płynie spodem,
Tam twoja władza nie sięga.
Niech tylko moje słońce mi zabłyśnie,
Wkrótce ta cała przestrzeń lodów pryśnie.
Te śniegi nawet, któreś tu zuchwała
W przepaści gór tych nawiała,
Same mi kiedyś pomogą
Zrzucić twoję przemoc srogą.
Dmij więc, dmij groźnie z twemi Akwilony,
Ścinaj, krępuj nurt ścieśniony;
Spieszając wiosny nie zatrzymasz w pędzie,
Pójdiesz skąd przysłaś, Wisła Wisłą będzie.

OSIEŁ I CIEŁĘ.

Oski téż to osieł ze mnie!
Tak się raz ciele łajało;
Ze się przelekło daremnie,
I jak głupie uciekało.
Ale gdy się tak rozwodzi,
Jakieś oślątko nadchodzi;
Idzie, idzie zadumane,
Łbem się uderza o ścianę
I mówi, myśląc nie wiele:
Jakie téż to ze mnie ciele!

Tak i ludzie z siebie szydzą,
I w swych błędach drugich widzą.

ZAJĄC.

Często w małej przyczynie wielkich nieszczęść źródło.

Pewne zwierzątko lwa rogiem ubodło,

A więc w skutku téj obrazy

Strasliwie wydał rozkazy:

Aby, kto tylko z rogiem się urodził,

Natychmiast z puszczy wychodził.

Wyszło więc wszystko co z rogami było;

Kozły, bawoły, jelenie, daniele,

Lecz co najbardziej dziwiło,

Że zajęc zmykał na czele.

A ty znów po co chcesz uciekać z lasu?

Tak nań wołano po drodze;

A on im na to w strasznej rzeczce trwodze:

Muszę się wynieść zawczasu.

Wystawcie sobie: w mojem życiu całem
Takiego strachu jak wczoraj nie miałem

Gdym cień mych uszu zobaczył;

Nużby też kiedy jaki żandarm srogi

Długość ich sobie na złe wytłómaczył

I może wziął je za rogi!

Na te słowa śmiech do koła,

Każdy, tchórze! tchórze! woła.

Lecz moje zdanie nie jest tak surowe,

Nie tak on bardzo swoją trwogą błdził;

A nawet jak to na zajęczą głowę,

Nie źle o swych czasach sądził.

WILK I JEŻ.

Wieczne zwierzęta w pewnym wielkim lesie,
Syte nareszcie i boju i chwały,
Gdzieś tam na walnym kongresie
Wieczny pokój podpisały.
A więc radość i skakanie;
Co za grzeczne oświadczenia,
Jakie łapek podawanie,
Jakie ogonów kręcenia.
Aż miło patrzeć jak to lew z tygrysem,
Lampart z niedźwiedziem, zając igra z lisem,
Jak się ze łzami ściskają rzewnemi
Wilk z baranem, pies z kotem, a osieł z wszystkiemi.

Wśród téj atoli radości, skakania,
Lub przynajmniej udawania,

Sam jeż na stronie stał sobie spokojny.
Nuż więc do niego pewien wilczek zdradny,
Chytry, układny,

Skryty podszczuwacz tyloletniej wojny,
Zbliża się, lasi, i tak mu powiada:
Szanowny jeżu, cóż cię to napada,
Chceszże rozrywać to święte przymierze,
Co nam wieczyste zaręcza swobody,
Czyż to przystoi na tak światłe zwierze!
Samemu się najeżać wśród powszechnej zgody;
Małoż to jeszcze krwi naszej po świecie,
Jeżu, ach jeżu, pomiarkuj się przecie...
Jeż wzniesionemi mierząc go oczkami:
O cóż ci idzie? skromnie mu przerywa.
O rzecz maleńką, wilczek się odzywa:
Zrzuć twoje kolce i pójdź igrać z nami.
Mam igrać z wami! zręczny jeż odpowie:
Wprawdzie iż całe bezpieczeństwo jeży

Od samych kolców zależy,
Ale któż twojej oprze się wymowie;
Zrzucę je, zrzucę, natychmiast to zrobię,
Skoro twe ząbki każesz wyrwać sobie.
Przebac, stare przysłowie mamy w naszym rodzie:
Bądźże z wilkiem ostrożny, nawet i po zgodzie.

KARTOFLE.

Mnogie, rozrosłe kartoflane plemie
Chciwe na wszelką, zwłaszcza cudzą ziemię,
Strasznie naraz udumniało,
Że spirytus w sobie miało.
Pycha ta nie znała granic:
Wszystkie płody miała za nic.
Ledwie za Boskie stworzenie uchodził,
Kto się kartoflem nie zrodził,
Śmiano się mówiąc: co za duma dzika,
Oczywiście, że ma bzika.
Ale ród ten pyszałkowy
Coraz bardziej wznosząc głowy
Wrzeszczał, krzyczał jak szalony:
Świat dla kartofla stworzony!
Dalej więc, dalej, na pola! na grzędy!
Tak po ich zborach wołano:
Zburzmy te śmieszne drobnych kopców rzędy,
W których nas dotąd trzymano,

Zbudujmy z wszystkich jeden gmach potężny,
Gmach ogromny, niebosiężny,
By mu nawet dodać wzrostu
Zwiększmy go rzepą, ćwikłami;
Skradźmy je, skradźmy po prostu,
I przezwijmy kartofłami.

Wielki więc luszytk, hulanie,
Tłoczą się jedne, drugie włożą na nie;
Cisną się, drapią do góry
Bambry, Szwaby, Brandebury. *)

Kiedy w tém nagle wśród te dumne płody
Powstał jakiś gwar, niezgody,
Ten raz poraz jęknął, pisnął,
Że go strasznie drugi cisnął.

Tamten znów krzyczał, jakby z głębi ziemi,
Że się udusi pod niemi.
Nuż się więc klócić i spychać,
Spychać od rana do zmierzchu;
Każdy chciał wolniej oddychać,
I każdy chciał być na wierzchu.

Nie dosyć na tém: owo cudo świata,
Owo mądre, wieczne dzieło
Sypane całe trzy lata,
Nagle psuć się, gnić zaczęło.
Powstał fetor niesłychany;

I z strasznym grzmotem,
Łoskotem,
Runął Babel kartoflany!

* Takie nazwy daje lud Wielkopolski kartofłom.

W ówczas to poznał ród ów nędzny, lichy,
Że sam swój dumie nie sprostął;
Kiedy z téj całej, tak buńczucznej pychy,
Stos tylko błota pozostał.

KUNDEL.

*La propriété est un vol.
Proudhon.*

Gdzieś tam na dworskie rzuconą śmiecie,
Porwał kość kundel i zaniósł w krzaki.
Mnieby nie skusił specyał taki,
Lecz różne gusta są w świecie.
Kundel go smacznie ogryzał,
Nie raz się nawet oblizał.

Widząc to zdala liczne psów roje,
Z strasliwym wrzaskiem przybieżą;
Co za kryminał gryźć własność swoje —
Własność jest czystą kradzieżą.
Kość ta należy do psa każdego;
I nuż więc szczekać na niego.

Kundel nasz z razu nie zważał na nie,
Na chwilę nawet nie sarknął,
Lecz ciągle głupie słysząc szczekanie,
Tak im zawarknął:

Szczekacie wszystkie jakby opętane,
Ledwie wam gardziel nie pęknie,
Co na psy dworskie lepięć wychowane,
Nie jest ni mądrze ni pięknie.
Czemuż zamiast głupiej wrzawy,
Nie tak szukać, jak ja, strawy.
Pracujcie tylko — a naostatek
Každy z was znajdzie swój gnatek.

Gdy w tém ogromny brytan przypada —
Kundlowi kość tę wydziera,
Spokojnie sobie zasiada,
I smaczny kąsek obżera.
Wrzawa więc nowa, większa, niesłychana —
Wrzeszczą, krzyczą na brytana;
Sam kundel nawet między psy ucieka,
I najgłośnieję z wszystkich szczeka.

Liczna jest takich kundelków gromada,
Trafia się nawet i na naszęj ziemi;
Oszezekiwana, póki coś posiada,
Straciwszy, szczeka z drugimi.



MYSZ, KOT, WILK I TYGRYS.

Jak to się jedna zbrodnia za drugą ugania.
Mysz, co siódmego nie zna przykazania,
Ziarnko orzechu wiewiórce ukradła,
Zaniosła w krzaczek i zjadła.
Kot tak szkaradnym przerażony grzechem,
Nie mógł się wstrzymać od złości;
Bo kto też słyszał o takiej cheiwości,
Kto widział cudzym tuczyć się orzechem?
Aby więc takie poskromić rozboje,
Porwał ją, zdusił i schróstał jak swoje.
Lecz i do niego w tejże samej dobie,
Skradał się wilczek za drzewem:
A tuś mi zdrajco! z strasznym krzyknął gniewem.
I zjadł go sobie.

Aż się też wreście groźny tygrys zjawia —
Idzie poskromić te liczne bezprawia,

I razem, jak przystoi na paszczę zwierchnika,
Wilka, kota i myszkę i orzech połyka.

I na tem koniec. Napróżnom się starał,
Z mojej bajeczki wywieść morał jaki!

Nie zjawił się taki,
Coby tygrysa ukarał.



GĘSI.



Ni ztąd ni zowąd nagle zdjęte trwogą,
Gęsi pod bliskim zerwały się lasem,
I wielką przez wieś uciekając drogą,
Z strasznym leciały hałasem.

Cóż to za głupstwo z takim wrzaskiem wpadać,
Tak zlekły kogut z wzniosłej woła tyki —
Nikt was nie myśli ni gonić, ni zjadać,
Poco więc, poco te krzyki?

Alboż my wiemy co się dzieje z nami —
Tak rzecz jedna pędząca w odwodzie —
My tylko lecim za temi gęsiami,
Które tam krzyczą na przodzie.



MAŁPA.

Nic łatwiej małpie, jak konceptem ruszyć,
Ma ich dostatnie zapasy;
Jedna z nich chciała morze osuszyć,
I ztąd nabrzeżne zapaliła lasy.
Co za pomysł jeniałny!
Pomysł wielki! radykalny!
Liczne wołały zwierzęta
A małpa pychę nadęta,
W takim prawila im tonie:
Wielkie, niezmierne lądy wam odsłonię,
Skoro od ognia wyparuje morze;
Republikę wam utworzę,
I na wieczny przykład światu,
Tak was urządzę praktycznie,
Że prócz pewnego dla mnie majoratu,
Wszystko będzie komuniknie.

Nowa ta dla was ojczyzna,
Będzie zbawienna golizna.
Wszystko wolne,
Wszystko wspólne!
Nikt się więc o nic nie strapi,
Nikt nie będzie karał, sądził,
Nikt nie słuchał, każdy rządził,
A co może, to zacapi.
Ale gdy się tak z swą mową rozszerza,
Raz, wraz, jakiegoś zapytuje zwierza:
A cóż, czy morza ubywa?
Jeszcze nie, — lis się odzywa.
Ależ przynajmniej już się warzą wody?
I to nie, — wilczek odpowiada młody.
Czeka więc małpa — ale cóż się stało?
Mnóstwo lasów się spaliło,
Kropli wody nie ubyło,
I morze morzem zostało.
Tak to niejeden wicherzyciel wleci,
I już natychmiast ogień swój nieci,
Natłokiem głupców się puszy.
Ale czemu się pochlubi?
Morza nieszcześć nie osuszy,
A kraj i zniszczy i zgubi.

ŻOŁĄDZ I DYNIA.

Rewien chłop, Marek z imienia,
Patrzył się pełen zdziwienia
Na dynię, której tak cienka łodyga,
Tak ogromny owoc dźwiga.
Widać jest, rzecze, że Stwórca pobłądził,
Ja byłbym rzecz tę inaczéj urządził;
Tak naprzykład porządkował:
Byłbym tam w owéj gestwinie,
Po wszystkich dębach porozwieszał dynie,
Owoc do drzewa stosował:
Tę zaś żołądz lichą, drobną,
Tak do dębu niepodobną,
Podły pokarm świni,
Byłbym dał dyni.
Szkoda, mój Marku, żeś tam w dawne lata
Nie był przy stworzeniu świata,

Nie jedną radę byłoby się dało,
I pewno lepiéj niżli teraz działo,
Gubię się w wielkim myśli moich tłumie,
Zasnąć nie można przy takim rozumie!
Kiedy tymczasem pod dębem usiada,
Kiwa się — chrapi — a w tém żołądz spada
Z jego dębu właśnie;
I tak srodze i okrutnie
Prosto w nos go utnie,
Że aż z bólu wrzaśnie.
Cóż to jest? rzecze,
Krew mi z nosa ciecze.
Maleńka żołądz — a tak mi dojadła,
Cóżby to było gdyby dynia spadła!
Żle coś mówiłem: próżna to otucha
Poprawiać Stwórcę, nawet w lichéj dyni,
Wie Bóg co robi, a najlepiéj czyni,
Że głupich Marków nie słucha.

Wchodzić pomiędzy niedźwiedzie i dziki,
Co cię w najpierwszym rozszarpia parowie?

A ten mu na to odpowie:
Kły tylko mają — a ludzie języki.

FILOZOF.

Pewien Filozof gdzieś tam w Perskiej ziemi,
Co śmiał łotrami nazywać zbrodniarzy,

A nawet głupich, głupiem,
Padłszy ofiarą zbyt licznych potwarzy,
Za kartusza okrzyczany,
O wszystkie zbrodnie ścigany,
I bluźnierstwo,
I kacerstwo,
I sztylety i trucizny,
Wreście o zdradę ojczyzny, —
Rzucił swój domek i na wieczne czasy
Wyrzekł się ludzi i uciekał w lasy.

Cóż czynisz? jeden z przyjaciół mu rzecze:
Chceszże szalony człowiecze

Zerwał się tygrys i rozjadł niezmiernie,
Straszną śmierć mu zapowiada:
A że takich obietnic dotrzymywał wiernie,
Już go więc połknąć przypada.
Lecz jeż na to: stój niebaczny!
Nie bardzom z memi kolcami jest smaczny;
Mógłbyś sam siebie o tę śmierć przypawić,
Można mię połknąć, lecz nie można strawić.

TYGRYS I JEŻ.

Prawem paszczęki i pazurów srogich,
Tygrys szeroką władnący dziedziną,
Na tronie zbudowanym z kości zwierząt mnogich,
Z groźną siedział miną.
A że wzniósł się tak wysoko,
Myślał, rozważał głęboko,
Iskrzące toczył źrenice;
Zatopił się w polityce.
Śliczne mu w głowie snuły się układy,
Jakby to swoje pozjadać sąsiady,
Wzmocnić się, zwiększyć przez napaści nowe,
Jak zaokrąglić państwo tygrysowe.
Kiedy w tém dziwnym sprowadzony losem,
Jeż mu się przemknął pod nosem.

ŚMIERĆ I MIŁOŚĆ.

Tkliwa miłość z śmiercią srogą,
Każda swoją ciągnąc drogą,
Po długim i nużącym biegu,
Zeszły się raz na noclegu.
Pod jednym dachem obiedwie stały,
A że wzajemnie swych grotów się bały,
Każda oddzielnie złożyła swe strzały,
A potem obie zasnęły.
Ileż to jęków ucichło wraz z niemi,
Jaka cisza po całej rozległa się ziemi!
Zasnęły z pierwszą wszystkie ludy, światy,
Najmniejsze nawet kochające twory,
Zasnęły z drugą rozbójniki, katy,
Zasnęły nawet doktory.

Lecz nie tu koniec. Śmierć mimo znużenia —
Bo któż ma tyle w świecie do czynienia!

Wstała z wybiciem północnej godziny;
Lecz aby śpiącej nie zbudzić dzieciny,
Cicho na palcach w drogę się wybiera;
Siega — znów siega — błąka się — obziera,
Wszędzie strzał swych upatruje,
Z kąta do kąta powraca,
Szuka, maca,
Aż je nareście znajduje.
Znajduje, lecz nie swoje. — Omyłko straszliwa!
Okropny skutku ciemnoty,
Własne swe zostawia groty,
Sajdak miłości porywa.

Wstała i miłość, chociaż później trochę,
Lecz, jak to zwykle, i dziecię i płochę,
Błędu swego nie postrzegło;
Co zostało,
To zabrało,
I w dalszą drogę pobiegło.

I nuż więc hałas, wrzawa, zamieszanie,
Jakiego dotąd nieznali ziemianie!
Wszystko okropnym działem się przewrotem,
Śmierć strzelała miłości, miłość śmierci grotem.
Cios jednemu przeznaczony,
Zawsze ktoś drugi odbierał;
Ten co miał umrzeć, kochał jak szalony,
Ten co miał kochać, umierał.

Jak grad leciały ich okrutne ciosy,
Wszystko się pomięszało, i wieki i losy,
Ludzie, niebianie, cały świat osłupiał,
Na chwile nawet i sam Jowisz zgłupiał.

Ach! gdyby były przez litość nad światem,
Srogie te bóstwa poprzestały na tém,
Gdyby choć nadal swoje zgubne strzały,
Lepiej przed sobą chowały —
Lecz na nieszczęście tym dawnym zwyczajem,
I teraz często mylą się nawzajem.
Egle, rodziców, kochanka nadzieje,
Ginie w kwiecie swój młodości,
A stara Flora i jęczy i mdleje,
Przeszyta strzałą miłości.
I cóż ztąd wywieść? wszędzie widok ludzi
Do śmiechu tylko, albo do łez budzi.

DRABINKA.

Nacóż to, mamó, ta długa drabinka
Stoi u tego kościoła?
Tak uroczą jęć dziewczynka
W ciekawości swój zawoła.
A matka na to: nie wiem moje dziecko;
Lecz wiem, że każdy na świecie
Po drabince życia bieży!
Po niej w górę piąć się trzeba,
I od nas tylko zależy,
Aby ją oprzeć o Nieba.

AGATKA I JAKÓB.

W przykładm stadle, młode, szczęsne latka
Przeżyli z sobą Jakób i Agatka:
Bez kłótni, zwady, bez najmniejszej sprzeczki,
Zgodni jak dwie turkaweczki.
Syn ich Tomaszek, pełen był pokory,
A tak posłuszny, tak do usług skory,
Tak cichy w pośród rodzinnego kółka,
Że go miano za aniołka.
Zwierzątka nawet mieszkające z niemi,
Nadzwyczaj były dobre mi;
To się w gronie miłym, słodkiem,
Razem pieścili z Tomaszkiem.
To znów piesek igrał z kotkiem.
A kotek bawił się z ptaszkiem.
Słowem nikt jeszcze nie widział takiego
Szczęścia, raj u swobody,

I nie było większej zgody
Nawet i w arce Noego.
Ależ i licho przyszło nareście!
Jakiś głupi kiermasz w mieście
Całą tę zgodę rozstroił.
Nasz Jakóbek,
Nalał w czubek,
I żonie skórę wyłoił.
Żona kwaśną strojąc minę,
Przez zemstę, na złość mężowi
Za jakąś tam drobną winę
Dała różgą Tomaszкови.
Chłopiec z wielkim gniewem, płaczem,
Wybił pieska harapaczem;
Pies niecnota
Pogryzł kota;
Kota nawet czart pokusił,
Porwał ptaszka i udusił.

Tak to zły przykład, gdy się zdarzy komu,
Z łatwością się rozkorzeni:
Raz tylko djabła wpuść do twego domu,
A raj ci w piekło zamieni.

JAGNIE.

Maleńkie jagnie w pewnym wielkim lesie,
Płacząc i biegnąc gdzie je rozpacz niesie,
Takim zwierzęta przyzywało głosem:
 Zlitujcie się nad mym losem,
 Moją dolą oplakaną,
 Wspomóżcie biedną sierotę,
 Ścigajcie wilka niecnotę,
 Porwał mi matkę kochaną.
Przez wzgląd na całe rodzeństwo,
Na publiczne bezpieczeństwo,
Zbierzmy się razem, zbierzmy,
I na tyrana uderzmy.
Zachowajcie to w wspomnieniu,
Co wam żal mój przepowiada:
Zaczął na owcy, skończy na jeleniu,
I tak nas wszystkich pozjada.

Zbiegły się zewsząd liczne zwierząt trzody,
Tkliwym nieszczęścia przywołane głosem,
Każde okropnej słuchało przygody,
 Każde nad swym drżało losem.
Zając rozmyślał o swój nędzy, biedzie,
Jeleń łzy ronił nad dolą zwierzęcia,
Lis burzył, wilk się srożył, mruczały niedźwiedzie,
 Ale nikt nie wsparł jagnięcia.

Lecz pocóż biedne zwierzęta oskarżać,
 Poco bajkę stwarzać?
By widzieć ciągle niewinnych nękanie,
 Płonne z przemocą zapasy,
Słyszeć daremne na bliźnich wołanie,
 Potrzebaż iść w lasy?

NIEDŹWIADEK.

Zona niedźwiedzia urodziwszy synka,
 Pokochała go szalenie.
 Ten miły głoszek, to wdzięczne spojrzenie,
 Zwłaszcza ta dowcipna minka,
 Którą widziała w swoim lubym płodzie,
 Tak jój głowę zawróciła,
 Że tylko o nim, o jego urodzie,
 Po całym lesie trąbiła.
 Nic nie znała piękniejszego.
 Najmniejszych nawet nie widziała wadek,
 Żaden smorgoński niedźwiadek,
 Ani się umył do niego.
 Słowem pewną była,
 Że samego lwa zrodziła.

Mąż, który zdala na dwóch łapach siedział,
 Długo jój ani słówka nie powiedział;

Lecz wręście tylu pochwały znudzony,
 Zbliża się do żony.
 A wprzód ją łapką pogłaskawszy grzecznie,
 Tak do niej mówić zaczyna:
 Moja ty duszko, zrodziłaś mi syna,
 Niech cię to przecież nie martwi zbytecznie,
 Kiedy ci wyznam otwarcie i śmiało,
 Że to pieścidło w twych oczach tak ładne,
 Wcale nam się nie udało,
 I że jest monstrum szkaradne.
 Co! monstrum! — ryknie, i na męża wpada,
 Ledwie oczu nie wydrapie.
 Otóż ja — rzecze — pokażę ci capie,
 Że to jest lewek i lewek nie lada.
 I nuż więc lizać swoje drogie dziecko.*)
 Liże go po łbie, po grzbiecie,
 Liże go z boku, liże z przodu, z wierzchu,
 Liże go od rana do zmierzchu.
 Ale któż sobie żal jój wyobrazi,
 Gdy na nic wyszły lizania tak długie,
 I gdy nareszcie wyłazi,
 Taki niedźwiedź jak i drugie.

*) Bajka ta opiera się na mylném lecz upowszechnioném podaniu, że niedźwiadki rodzą się potworami, i że dopiero lizanie nadaje im kształt właściwy. Ztąd u Francuzów wyrażenie — un ours mal leché. — Ztąd błędne to mniemanie rozciągało się u starożytnych i na inne zwierzęta. Dowodem tego jest owo miejsce w Wirgiliuszu — fingere corpora lingua.

Krzyczy więc, ryczy, tarza się i pieni,
Ostre mi drze się pazury.
Wszystko próżno: nikt nie zmieni
Pierwotnych rysów natury.
Pomimo wszelkie trudy i staranie,
Kto się zrodził niedźwiedziem, niedźwiedziem zostanie,

Zdarza się i uczonym podobny przypadek.
Mąż krytyk, żona autor, a dzieło niedźwiadek.



DZIECI.

Goniły się raz dzieci na wiejskim podwórku:
Szło o to kto najpierwszy z nich stanie na wzgórku;
Antoś, co do najzwawszych chłopczyków należał,
Wszystkich z razu wyprzedził i jak strzała biegał,
Gdy w tém upadł biedaczek i nim wstał, niestety,
Drugi za nim dążący już dobiegł do mety.
A więc w płacz i do ojca, a ten go na stronę:
Nie płacz drogi Antolku, nie wszystko stracone —
Jeden cię wprawdzie chwały pierwszeństwa pozbawił,
Lecz za to, jakżeś wielu za sobą zostawił.



Można dla róży mniej na kolce zważać.
I na ranę się narażać,
Lecz któżby mając kwiat tak wdzięczny, tkliwy,
Chciał się parzyć dla pokrzywy?

POKRZYWA I RÓŻA.

Przykra dla wszystkich, z wszystkimi zwaśniona,
Dla siebie tylko i słodka i tkliwa —
Tak się wśród licznych kolców nasrożona,
Gorszyła z róży pokrzywa:
Bawi mię — rzecz — ta róża tak sławna,
Co niby skromną udaje przed światem,
Znam ja tę skromność od dawna,
Któż się nie pieścił z jej kwiatem?
Mnie taka płochosć nigdy się nie zdarzy,
Wszystkim wiadomo jak jestem surowa,
Mojem godłem są te słowa:
Kto się dotknie, ten się sparzy.

I pocóżby się tykał? tak jej rzecz z boku,
Jakiś pasterz w wieczornym dumający mroku:

NIETOPERZ.

Wpadł raz nietoperz do jamy łasiczki,
Myszego rodu wielkiej przeciwniczki.
Z strasznym więc gniewem ku niemu przyskoczy;
Jak ty śmiesz — rzecze — stawać mi przed oczy,
Ty coś jest z tego brzydkiego plemienia,
Myszą, monstrum przyrodzenia.
Przepraszam, — w kornój rzecze jój postawie —
Ja się myszostwem nie bawię.
Ja mam być myszą! ja straszylłem takim!
Cóż to za potwarz obrzydła!
Dzięki Bogu jestem ptakiem,
Wszakże moje widzisz skrzydła.
I nuż w hurra i wiwaty,
Niechaj żyje ród skrzydlaty!

Wkrótce atoli wśród szarej godziny,
Gdy się znów kręci jak waryat jaki,
Zapada do jej kuzyny,
Strasznie zawziętój na ptaki.
A tuś mi, — krzyknie gniewna i zajądła —
Każdy ptak tu umrzeć musi!
I już doń z długim swym pyskiem przypadła,
Pewna, że ptaka w nim zdusi.
Stój! — woła biedak — jakiż szal cię bierze?
Przypatrz się przecie mój całej osobie,
Aby być ptakiem potrzeba mieć pierze,
Ja zaś jestem myszką sobie.
Wiwat myszy! wiwat! wrzaśnie,
Niechaj w kota piorun trzaśnie!

Tak to niejeden na dwóch stólkach siada,
Zwija się, łasi, lisim kręci szlakiem,
O nim to właśnie ta bajka powiada:
Umie być myszą i ptakiem.

PAN MARCIN.

Niech licha porwie karty i picie,
Już mi takie zbrzydło życie,
Muszę się całkiem poprawić.
Tak mi pan Marcin i chory i zgrany,
A więc na się zagniewany,
Nie przestawał prawić.
A ja mu na to: piękne to zamiary,
Lecz przebac bratku, że im nie dam wiary;
Wszakżeś to samo przyrzekał mi nieraz,
A zawsześ skrewił. — Prawda jest, lecz teraz
Poprawię się niezawodnie.
I kiedyż? — Kiedy ot za dwa tygodnie.
Czemuż nie zaraz? — Są tego przyczyny.
I jakież przecie? — Jacka imieniny.
Spił się na moich, jak mu nie odpłacić,
Kamienną na to trzebaby mieć duszę;
Wreszcie choćbym miał grosz ostatni stracić.
Rewanż mieć muszę.

Ale za ledwie słów tych dopowiedział,
Doszedł do chłopca co nad rzeką siedział
I spytał: cóż tak marzysz mój kochanku?
A chłop mu na to: siedzę tu od ranku,
Chciałem przez rzekę powrócić do domu,
A tu ni łódki, ni promu;
Czekam więc mój Panie,
Aż rzeka płynąć przestanie.
Otóż jest, rzekłem, twój obraz Marcinie,
I ty tak czekasz, aby się nawrócić.
Gdzie przejść nie można, trzeba w pław się rzucić,
Bo rzeka zawsze popłynie.

SZTUKA MUŚLINU.

Pewien żydek, Mosiek stary,
Co się wielkim handlem szczycił,
Między innemi towary,
Sztukę muślinu przemycił.
Muślin ten był w pierwszej modzie,
Wielki zysk więc przewidywał,
Liczył na palcach, pysznił się i kiwał,
I raz wraz głaskał po brodzie.
Ale zaledwie swój towar rozwinie,
W strasznym się ujzy kłopotcie:
Drobnych się plamek niezliczone krocie,
Po całym czernią muślinie.
Krzyk więc i hałas, wrzawa niepojęta,
Wrzeszczy Moškowa i wyją Mosięta.
Kiedy nas żydziak lis stary i szczwany,
Ciszej! — krzyknie zagniewany.
Zkąd te lamenty? i cóż tak strasznego
Odrwili wprawdzie, lecz szacher od czego?

Rzekłszy to, muślin swój bierze na barki,
Do bliskiej niesie haftarki,
I po swym całym towarze,
Złote gwiazdki rozsiać każe.
Muślin ów, ledwie gwiazdeczkami błysnie,
Chmura szlachcianek do niego się ciśnie:
Tłoczą się, wadzą i kłócą,
Ledwie żyda nie przewrócą.
Kiedy w tém pewna Jejmość, nakształt dyni,
Chudój wicseczki tłusta dzierzawczyni,
Łapie za towar, cały tłum odpycha,
Płaci w trójnasób i do domu czmycha.

Tak kiedy kto się podłością oszpeci,
Musi przejść nieraz przez te szachry same,
I na to gwiazda na piersiach mu świeci,
Aby pokryć plamę.

ZIĘBA.

Zięba po kilku tygodniach zameżcia,
Czując że w krótcie ma ród swój pomnożyć,
Już nie wiedziała z tak wielkiego szczęścia,
Gdzie ma swe gniazdo założyć.

Obrała sobie dąb najwyższy w lesie,
I już natychmiast krząta się i cieszy,
To suchy listek, to znów słomkę niesie,
To z jakąś trawką na wierzch dębu spieszy.
Zwija się, szuka na prawo, na lewo,
Sztucznie doweipną swą kołyskę splata,
Stokroć na ziemię i stokroć na drzewo

W jednej godzinie przelata.
Ale nie długą każdą radość bywa,
Zwłaszcza gdy szczęścia chcemy szukać w górze,
Plakała w krótcie zięba nieszczęśliwa,
Na skwary słońca, na okropne burze;

Biły pioruny, huczał wicher wściekły,
A zwłaszcza grady niezmiernie ją siekły.
Na dół więc, na dół, czempredź się chroni,
I w pośród trawy drugie gniazdo wije —
Lecz i tam znowu nieszczęście ją goni,
Bo któż się przed niem ukryje?

Zaledwie pracę ukończyła swoje,
Wszystkie się na nią przeciwności zwały:
Wilgoć, kurzawa i robactwa roje
Biedną ptaszynę wyгнаły;

Siada więc sobie i z ciężkiem westchnieniem,
Duma, co dalej uczynić.

Szczerze się z swoim rachuje sumieniem,
W czém mogła niebu zawinić.

Placze i płacze nieszczęsna ptaszyna,
Lecz czegoż matka nie czyni!

Skarzy się, dręczy, — losy, Nieba wini,
A trzecie gniazdo zaczyna.
Ściele je sobie na młodej leszczynie,
Ściele, i znowu po górach, dolinie,

Szuka i zbiera i niesie.
I jakby w inną przeniesiona knieje,
Wkrótce się dziwi, dumieje,
Zkąd taka zmiana po lesie;
Jakaś nieznana jój władza
Całą naturę odradza,
I wszystko cichszem się zdaje —
Rośnie jój praca miłosna,
Milsze życie, milsza wiosna,
Nakoniec matką zostaje.

O jakże wówczas wołała na zięby,
Na wszystkie nawet ptaszyny:
Nie lećcie siostry na wysokie dęby,
Nie spadajcie na niziny.
Nie gońcie płochych uroję po świecie,
Obierzcie sobie jaki krzaczek bliski —
Ni zbyt wysoki, ni też nazbyt niski,
A pewno szczęście znajdziecie.

—❖—

OŚ.

—

Oładownego wozu furmana
Tak skrzypiała oś drewniana,
Z takim piskiem, przykrym, głośnym,
I rażącym i nieznośnym,
Że każdy na gwałt uszy swe zatykał,
I jak mógł, tak zamykał.
Sprzykrzył się wręście pisk ten i woźnicy,
Wstrzymał więc konie, wziął się do maźnicy —
Ręk i trudu nie żałował,
Oś porządnie wysmarował;
A gdy znów z miejsca ruszył, biczem świsnął
Już wóz jego ani pisnął.
Tak to niejedne rządy się ratują,
Gdy przeciw sobie liczne wrzaski słyszą:
Łapy krzykaczów smarują,
A natychmiast się uciszą.

—❖—

Toż samo za rok i mnie oczekiwa,
Toż samo wreście i wśród ludzi bywa,
Wszystko co niegdyś taką miało chwałę,
Słynne poety — wodze — dygnitarze,
Dawne wolności — panny podstarzałe,
Wszystko to, wszystko stare kalendarze.

STARY I NOWY KALENDARZ.

— — —

Stary kalendarz młodszemu bratu,
Wziętości jego zazdrościł,
I wżgardę swoje wyrzucając światu,
Strasznie na niego się złościł.
Czyż to — zawoła — nie brzydko, niktzemnie!
Każdy mnie dawniej lubił, chciwie czytał,
Mnie się ciągle radził, pytał,
Nie mógł się obejść bezemnie.
A dziś tak srogo, tak dumnie
Gdzieś tam w brudny kąt mię ciska
Między stare papierzyska,
I nie spojrzy nawet ku mnie,
A młodszy na to: cóż w tém dziwnego,
I o cóż tyle hałasu?
Świat cię opuścił, lecz tylko dla tego,
Żeś już nie jest z tego czasu.

P O S A G.

Z drogi! z drogi! wołając na lud przerażony
Pewien despota w swym grzmiącym przelocie,
Ujrzał swój posąg świeżo obalony,
I leżący w błocie
Miecza! katów! zakrzyknie, niechaj ginie zdrajca,
Niechaj śmierć jego przykładem się stanie,
Któż jest ten zbrodniarz? kto ten winowajca?...
Piorun! Najjaśniejszy Panie.

KOGUTEK GĄSIĘTA.

Można się czasem wystrychnąć na dudka,
A przecież głupich dziwić i zdumiewać.
Złapał raz Stasio żwawego kogutka,
Opoił winem i kazał mu śpiewać.
Drze się więc kogut i w głupim obłędzie,
Wrzeszczy i krzyczy po grzędzie,
Ledwie mu gardziel nie pęknie;
A mnóstwo gąsiąt stojące do koła,
Straszenie się dziwi i woła:
Jakże to mądrze i pięknie!
Któż kiedy takie kuranty wycinał,
Sam on to sposób swego piania stworzył,
Sam nową drogę otworzył —
Vivat! kogut oryginał!

Cóż to jest? rzekły koguty znudzone —
Czyście zgłupiały, czy też drwiecie sobie,
Któż widział w takim uwielbiać sposobie

Pijaka krzyki szalone?

Możnaż sumiennie takim bredniom nadać

Imie koguciego pienia,

I z tego wrzasku, krzyczenia.

Choć za grosz sensu wybadać?

Zawsze z tym sensem! wszystkie gąski krzykły —

Ni w pięć, ni w dziewięć gadacie.

Otóż to właśnie ten krzyk tak niezwykły,

Ta dzika śmiałość której wy nie znacie,

Ta twardość dźwięków przy największym szumie,

Luba niepewność czy się sam rozumie,

To jest co w śpiewie najpiękniejszym bywa,

Co się szczytnością nazywa;

Co wieczną chwałę daje kogutkowi,

Nową epokę stanowi!

Ale nie długo trwały te zaszczyty,

W krótcie nasz śpiewak wyszumiał;

A że nie był w ciemę bity,

Sam się nad swém głupstwem zdumiał,

Zanim więc jeszcze ranna zorza błysła,

Zwykłym kogutów zaczął nucić głosem —

Ale jakimś szczególniejszym losem

Żadna z gąsek ani piśla.

Cóż to jest? — pyta nasz kogut zdumiały —

Czyż ja śpiewam tak szkaradnie?

I owszem, — wszystkie gąski się ozwały —

Śpiewasz dosyć ładnie.

Lecz jakoś w naszym upadasz kurniku.

Nie, już to nie jest to pianie szalone;

To to było kukuryku,

Właśnie dla gąsiąt stworzone.



SEKRET.

(Z Lafontena.)

Nic tak nie cięży jak sekret kobiecie;
Sam on się z ust jęj wyrywa,
Jakoś jęj nawet lżęj i zdrowięj bywa
Kiedy się z czego wyplecie,
Pewien mąż swojęj chcąc doświadczyć żony,
Tak w pośród nocy krzyczał jak szalony:
Pękne! ach pękne dla boga!
Ratuj mię żono, ratuj duszko droga,
Bo duszę z ciała wyrzesczę!
Nakoniec jakieś zdziwienie udaje:
Cóż to jest, rzecz, wszak ja zniosłem jaje —
Patrzaj kochanko, oto ciepłe jeszcze.
Lecz przebóg żono, nie rozgaduj dalej,
Boby mnie kurą przezwali.
Żona szczególnie jakieś niewiniątko,
A nawet trochę cielątko,

Święcie mu milczeć przyrzekła;
Cóż, gdy przysięga już z nocą uciekła.
Zaledwie że się przebudziła z rana,
Już dyrda, leci do jednęj z sąsiadek:
Kumo, zawoła, ach kumo kochana,
Straszny się u nas wydarzył przypadek.

Powiem wam ale w cichości:
Mój mąż zniósł jaje ogromnej wielkości —
Ależ na Boga nie mówcie nikomu,
Kijemby mnie wygnał z domu.
Nie znasz mię, druga rzecz, miałabym was klócić,
Jam do sekretu stworzona.

Mnie co powiedzieć, jakby w studnię wrzucić.
Idzie więc, wraca Jajkorody żona.
Lecz Panią kumę już języczek śwędzi:
Dalej więc, dalej po sąsiadkach pędzi,
Szepce o wielkiem zdarzeniu sąsiada,
Zamiast jednego, troje jaj powiada.
Łapią nowinkę wszystkie kumy drugie,
I nuż o jajach szepty gęste, długie;
Ta z nich o czterech, ta o pięciu plecie,
A każda w wielkim sekrecie.
Wzmaga się sława, liczba jaj podwaja,
Rosną i rosą niezliczone jaja.

Tak iż nakoniec dzięki lotnej wieści,
Nim zmierzchnął osiadł na dolinie.
Już ich było sto czterdzieści,
A wszystkie wielkie jak dynie.

CHART I KURTA.

Wiesz co braciszku, puśćmy się w te nurty.

Tak się chart ozwał do kurty —

Już jam podobne przechodził strumienie,
Śmiało więc mego trzymaj się ogona.

A ten mu na to: Kłaniam uniżenie!

Woda ta nazbyt wzburzona.

Wiem ja wręście co się dzieje,

Gdy się w taki potok wkroczy,

Tam gdzie chart boki omoczy,

Kurcie się w uszy naleje.

KRZAK RÓŻY.

Rzucony raz kamyk duży,
Przygniótł młody krzaczek róży.
Nikt się nad nim nie użalił,
Nikt ciężaru nie odwalił,
I wszyscy rzekli że zginął:
Gdy wtem wonny maj nadpłynął.
I jak cudem przyrodzenia,
Zawsząd w okół z pod kamienia
Wyciska się listek wązki,
A za nim młode gałązki.
Krzak ów zrazu tak nieśmiały,
Wciąż się silniej wydobywa;
I obrosłszy kamień cały,
Mnóstwem róży go okrywa.

Tak niejedna dusza cicha,
Co pod ciężkim bólem wzdycha,
Głośnych sobie skarg zabrania;
I kwiatami swój miłości,
I dobroci i litości
Kamień na sercu zasłania.



J A B Ł K O.



Prześliczne jabłko małpa zerwała —
I wzięwszy je w łapek dwoje,
I skakała i wołała:
Jabłko to jest moje.

Kiedy wtém Henryś zwinny jak łasiczka,
Wyrwie je małpie i pyszny z zdobyczy,
Lata i woła i krzyczy:
Jabłko to jabłkiem Henryczka!

Ale zaledwie na pół je rozłupi,
Patrzy, aż wewnątrz sprosny robak leży,
Co szydząc rzeczy: pysznys jest a głupi.
Jabłko to do mnie należy!

Czy słyniesz z wdzięków, czy też berłem władasz,
Czy do dzieł wielkich rozum cię uzdatni —
Zbyt krótko dar twój posiadasz;
Robak właściciel ostatni.



KONIK POLNY I MRÓWKA.

(Z Lafontena.)

Konik polny, co swój cały
W pośród lata czas prześpiewał,
Tak był na zimę zgłodniały,
Że tylko wiatr nim powiewał.
Żeby też odrobina jaka
Z muchy lub robaka —

Nic zgoła!

A więc idzie, płacze, woła,
U skrzętnój mrówki kołace.
Pożycz, jój, pożycz powiada —
Kilka ziarenek dla sąsiada;
Jakem konik tak zapłacę,
By tylko sierpień zawitał,
Prowizyą i kapitał.

Mrówka na to: opatrz Boże,
Ja nikomu nie pożyczam;
Do wad to moich policzam,
Nawet i najmniejszych może.
Ale już mię nie poprawisz;
Raczej odpowiedz mi na to:
Cóżeś robił całe lato,
Że się dziś zebranką bawisz?
Tak w dziennój jak nocnej dobie,
Wciąż śpiewałem bez ustanku.
Śpiewałeś? dobrze kochanku,
Teraz skakaj sobie.



MRÓWKA I PSZCZOŁA.

 jesiennój porze, gdy straszna nawała,
Całe zniszczyła mrowisko;
I jak wieść niesie, dwa tysiące blisko,
Mrowiego ludu zalała.
Jedna z nich biedna, płynąc przez czas długi,
Na drobnój słomce, jakby Noe drugi,
Gdzieś się tam na brzeg wywlokła;
A szczęsnym pszczółkę napotkawszy losem,
Zziębła, drżąca, głodna, zmokła,
Takim zapłakała głosem:
Posił mię, posił, pszczółko dobra, tkliwa,
Patrz jak jestem nieszczęśliwa,
Niemam i jutra czém dożyć:
Nikt na litości nie traci,
Niebo ją stokroć odpłaci;
A i ty możesz zubożyć.

Wesprą cię wówczas jak ty mnie w téj dobie —
Bo jak ty drugim, tak i drudzy tobie.
Wymowną jesteś! pszczołka jój odpowie:
Lecz kiedy taka boleść cię przenika,
Przypomnij sobie owego konika,
Co także w pięknej wymowie
Twój się litości domagał;
Wszak o ziarno tylko błagał —
A ty nietylko, żeś mu nic nie dała,
Jeszcześ mu skakać kazała.

Mrówka się łzami w swym zalewa wstydzie,
Zwraca się, milczy i umierać idzie;
Kiedy z natury swój pocziwa pszczoła,
Tak ją odwoła:
Wróć, wróć, niechciałam z twojej szydzić biedy,
Przybliż się, zasil w potrzebie,
Lecz jeśli znowu z bogacisz się kiedy,
A nędzarz przyjdzie do ciebie,
O niechże prośbą nie błaga daremną,
Nie gardź tą niebios przestrogą:
Pomnij, że i ty płakałaś przedemną,
I jak on byłś ubogą.



LEW I SŁOŃ.

— — —

Kiedy po krwawym ojca swego zgonie,
Sultán Lew drugi na swym zasiadł tronie;
Chcąc zdolność swego wezyra ocenić,
Zapytał słonia co ma w kraju zmienić.
Słoń na to: Panie, wszystkie twoje państwa,
Toną w rozkoszach lubego poddaństwa;
Śliczne masz stepy i puszcze niezmierne,
Wszędzie w twych jamach leży łup na łupie,
Trapią mię tylko twoje osły wierne,
Że zawsze głupie i głupie.
Oświeć ich Panie, ach oświeć dlaboga,
Połóż koniec téj ohydzie —
Choćbyś miał nawet użyć i batoga,
Użyj go, użyj, o ich dobro idzie.

Stój! Lew zaryknie, zkąd ci to szaleństwo,
Natoż to nieba na tron mię wyniosły,
Bym zmuszał, dręczył moje drogie osły,
Za cóż takie okrucieństwo?
Czyż losu swego nie znoszą w cichości,
Czyż nam nie dobrze, nie wygodnie z niemi?
Nie! nigdy takięj nie ścieśnię wolności,
Niech sobie będą głupiem.



W A Ź.

9
Smieszny węzowi przypadek się zdarzył,
Ogon się z głową poswarzył,
Głowa od wieków miewała pierwszeństwo.
Bo któż mógł lepiej ogonem kierować;
Cóż gdy przez jakieś szaleństwo,
Chciał na jęj miejscu przodkować.
Jak to? zawoła, onaż ma być panią,
Ja się wiecznie czołgać za nią?
Nie, nie, — poznałem dzielność własnej siły,
Jestem jęj bratem, nie sługą stworzony;
Dosyć już głowy rządziły,
Przyszła kolej na ogony.
I nuż więc w prośby: Potężne Niebiany,
Zgromcie te srogie ogonów tyrany;
Niechaj sam ogon i rządzi i radzi,
Niech ogon głowę prowadzi.

Niebiany, których dobroć nieszczęśliwa,
Nieraz w swych skutkach zbyt okrutną bywa,
Mylnie w swym boskiem uradziły gronie,
 Zamiast skarcić szął zuchwały,
 Głupiej prośby wysłuchały,
 I rzekły: „ruszaj ogonie.“
Rusza więc ogon, śmiało naprzód zmierza....
Lecz gdzież mógł zaleść przy swojej ślepcie,
To się o drzewo, to o głaz uderza,
 To w strasliwym grzęźnie błocie.
Wreście, gdzie wieczna czeka go zagłada,
 W bezdenną przepaść zapada.
I tak przez swoje rządy ogonowe
 Gubi i siebie i głowę.

Tak to i całe narody zabije
 Zapał wściekłego szaleństwa,
Kiedy się jadu zawiści opije
 Brudny ogon społeczeństwa.



SUKNIA PRADZIADKA.

 drobnego księstwa grodzie stołecznym,
W zamku starym, średniowiecznym,
Został po zmarłym księciu ubiór cały,
 Równie drogi, jak wspaniały,
 A tak świeży, niepomięty,
 Jakby dzisiaj z igły zdjęty.
Zacny syn jego dostawszy go w spadku,
 W srebrnej go skrzyni zamykał;
Wnuk nawet drogiej pamiątki po dziadku
 Do zgonu swego nie tykał.
Lecz za prawnuka co rządzić zaczynał —
 A był dziwny oryginał —
 Całkiem inaczej się działo:
Sam Bóg wie tylko, zkąd mu się ubrdało,
 Że bardzo mądrze uczyni
 I godność swoją podwoi,
Gdy te szaty wyjmie z skrzyni,
I sam siebie w nie przystroi.

Jakoż wziął na się ów ubiór dziejowy,
Przywdział mundur dwuwiekowy,
Nakładł ozdób, drogich, sutych,
Stapał w butach srebrem kutych,
W długich na łokieć ostrogach,
A na cześć, chwałę dziedziczną,
Na perukę dynastyczną
Wdział kapelusz o trzech rogach,
Tak iż każdy oczny świadek
Wolał, widząc te przemiany:
„Stary książę wykapany —
„Kubek w kubek Pan pradziadek!“

Lecz że i głupstwo taką ma naturę,
Że czasem wszelkie przechodzi granice,
Tak i nasz dziwak nos zadarkłszy w górę,
Wyszedł jeszcze na ulicę.
Alić ledwie na nią wkroczy,
Krzyczący motłoch się tłoczy;
Krzyk ten całe miasto ściąga
Z wszystkich murów, baszt i gmachów
Z wszystkich okien, z wszystkich dachów
Wpatrują się w dziwoląga.
Gdy w tém ktoś z boku wykrzyka:
Biada nam! książę ma bzika!
Na głos ten dziwak, ledwie się nie wściecze:
Z kordem w dłoni
Lata, goni,
Bije i rąbie i siecze;
Kiedy w tém pędząc ku zamkowej bramie,
Pada na bruk i kark łamie.

Cofać się ciągle w czasy przedwiekowe,
Odrzucać lepsze, dla tego że nowe,
Rzecz to u książąt nie rzadka;
A przecież owe zabytki zbutwiały,
Dzikie przesady i formy zgrzybiałe,
Wszystko to suknia pradziadka.



ŚWINIA I CHMURA.

Grzniało — wiatr czarną napędzał chmurę;
Ciesząc się świnia, patrzyła w górę.
A to mi głupia! chłopiec się odzywa:
Od trzech dni słota moje gnoi żniwa,
Ciągłe leją deszcze;
Ta się zaś cieszy, że ma padać jeszcze.
A świnia na to: może iż ta słota
Do twój się zguby przyczyni,
Lecz będzie więcej i kałuż i błota,
Nadzwyczaj miłych dla świni.

OSIEŁ I JACEK.

Biedził się Jacek od dobrej godziny,
Nie mógł osłowi poradzić;
Niewiedzieć z jakiej przyczyny,
Nie dał się przez most prowadzić.
Nie pójdę, rzecze, dość tych dziwactw znoszę,
Męcę się, niszcę, i już ledwo łążę;
Ja mam iść naprzód! i dla czego proszę?
Wielka przyczyna, że tak Jacek każe!
Jacek tymczasem na nowo go zmusza,
Ciągnie za uszy, kijem, drągiem ćwiczy.
Osieł nie tylko, że naprzód nie rusza,
Jeszcze się cofa i ryczy.
Niechże cię wreście jasny piorun trzaśnie —
Gniewny Jacek wrzaśnie.
Nic ja tu z tobą nie zrobię;
Gdy mu wtém nagle błysnie myśl szczęśliwa,
Leci w tył, osła za ogon porywa,
I silnie ciągnie ku sobie.

Ho! ho! rozumiem, Jacek plan swój zmienia,
Domyślny osiel zawoła:
Widząc, że naprzód znaglić mię nie zdoła,
Chce mnie zmusić do cofnienia.
Otóż nie zmusi: w téj chwili zobaczy,
Co to osiel znaczy.
Rzekłszy to, jakby sparzony ukropem,
Myśląc, że cudów dokona,
Zrywa się, rusza i przez most galopem
Leci z Jackiem u ogona.

Są i wśród ludzi istoty tak dziwne,
Sprzeczne, przekorne, jakby krnąbrne dzieci;
Lecz udaj zdanie twojemu przeciwne,
A osiel przez most poleci.

GWÓZDZ I SZRUBA.

Niezmiernie gwóźdź się zamroczył,
Gdy raz w desce szrubę zoczył.
Jak to być może, rzecz, moja luba,
Ja tak cienki, tyś tak gruba,
Przecież w brew twojej naturze,
Więcej zdziałałaś odemnie;
Właśnie tam siedzisz w téj dziurze,
Gdziem ja się tłoczył daremnie.
A ta mu na to: tak to zrzeczność działa;
Ty prostą szedłeś drogą, jam się wszrubowała.

KRÓL SCYTÓW.

Czy to prawda, czy zmyślenie,
Nie wiem i próżno nie badam;
Dość, że słyszał to zdarzenie,
A com słyszał, opowiadam.
Raz król Scytów ogromną zdobywszy stolicę,
Kiedy rozległe przejeżdżał ulice,
I razem z mnóstwem swej dziczy
Dziwił się swojej zdobyczy,
Ujrzał, świetnemi otoczony budowy
Jakiegoś króla posąg marmurowy,
A pod nim napis w czystym ryty złocie:

Stawie i cnocie.

Skutkiem jakiegoś szczególnego cudu,
Ta tkliwa wdzięczność, hołd całego ludu,
Ta sława, której wieki nie umniejszą,
Wzruszyły Jego Dzikość Najjaśniejszą.

Daje więc rozkaz, by się przed nim stawił
Pierwszy z mędrców téj krainy,
I by mu wszystkie opowiedział czyny,
Którymi król się ten wsławił.
Idzie więc mędrzec, a gdy przed nim stanie,
Tak się doń ozwie: Najjaśniejszy Panie!
Król ten, któregoś wielkich dzieł ciekawy,
Był podług dziejów i srogi i krwawy;
Szczególne jakieś miewał przywidzenia:
Całkiem nie lubił ludzkiego plemienia.
Niczem mu były i cnota i sława,
Niczem ludzkie, Boskie prawa;
Wszystko zdeptała jego złość bezbożna;
A tak darł Panie jak tylko drzeć można.
Stój! stój! zawoła nasz Scyta zdumiały:
Jakże to zgodzić z tym pomnikiem chwały,
Cóż ta sprzeczność znaczy?
A mędrzec na to tak mu się tłumaczy
Przyczyna tego łatwa do odkrycia,
W dwóch ci ją słowach odsłonię:
Posąg stawiono za życia,
Dzieje pisano po zgonie.

Aż wreście jeden, rzadkim darem losów.
Na wiekopomny zwycięstwa zadatek,
Wydarł drugiemu kilku biednych włosów
Lichy i śmieszny ostatek.

Wiecież o co był ten bój tak potężny:
Oto o grzebień mosiężny.

DWAJ ŁYSI.

Dwaj łysi w dobrą przyjaźni i zgodzie,
Chodzili z sobą po Saskim ogrodzie;
A że w rozmowach czas słodko upływa,
O dawnych sobie dziejach powiadali,
I jak to zwykle w naszej Polsce bywa,
Na ciężkie czasy łajali.
Gdy wtém, nieszczęściem, właśnie w ową dobę,
Kiedy najbardziej poświadczały sobie,
Jakieś cacko, świecidełko,
Niby złoto, niby szkiełko,
Nagle przed niemi
Błysło na ziemi,
I jużci kłótnia i zwady i boje:
Puszczaj — nie puszczę — to nie twoje — moje;
Jak dwa zażarte tygrysy,
Walczy z łysym łysy.

ZEBRA.

Pomiędzy liczną obcych zwierząt rzeszą,
Które tłumami do Warszawy spieszą,
Raz ktoś na Grzybów zebra przyprowadził.
Natychmiast tłum się niezmierny zgromadził.

Wszyscy patrzą zadziwieni,
Dziwią się osły, dziwią i uczeni;
Z wszystkich stron razem wznioś się odgłos liczny:
Cóż to za rumak prześliczny!

Rumak? — zakrzyknie jakiś konik kary,
Tęgi Sarmata, nawet wojak stary,
Co niegdyś dzielnie nasze wrogi zmiatał.
Któż mnie to będzie z tém straszidłem bratał?
Czyż mu dla tego pochwalił sypiecie,
Że tam gdzieś w obcych urodził się stronach?
On ma być koniem? przypatrzcie się przecie:
Wszakże to osieł w galonach.

KURA.

Pierzem, siercią czy szatą okryte istoty
Na wszystkich cięży ta sama natura, —
Wszystko to jedno, czy człowiek czy kura,
Każdy ma swoje kłopoty.
Człowiek się w swojej udęcza niedoli —
Kura z swem jajkiem mozoli;
On na niewierną się skarży —
O niej kogut zapomina;
On płacze na cios potwarzy —
Ta stare kwoki przeklina;
Śmierć ich nawet równa czeka,
Sprząta kurę i człowieka.

Ale mówmy o kurze. Jedną z nich niebogę,
Podobno w czerwcu, ile pomnieć mogę,

Trapiły jakieś niepojęte smutki,
Jakaś skłonność do dumania,
Kurzego losu zgłębiania,
Nie wiedzieć z jakiej pobudki.
Nie była to żadna boleść ni zgryzota,
Ni żal po zmiennym kogucie,
Lecz raczej jakaś głęboka tęsknota,
Jakieś posępne przeczucie.
I właśnie takie jak owéj nieboszki —
Kokoszki!

Chcąc więc raz przerwać ów smutek głęboki,
Skrycie pod chłodny weisnąwszy się murek
Patrzyła sobie na igraszki, skoki,
Dziobiących synków i córek.
Ale kiedy tak spokojna i cicha,
Siedzi sobie nieszczęśliwa,
I raz poraz wdycha,
Ni ztąd ni zowąd nagle się porywa,
I do góry w jedną stronę
Trzymając oczy wlepione,
Jakby wielkim strachem zdjeta,
Cofa się, kwoczy, umyka,
I do kurnika
Zapędza swoje kurczęta

Koguty co w tym przestrachu
Widziały ją z dachu,
Zadumione tą jej trwogą,
Pojąć nie mogą.

Patrzą i patrzą po niebie,
Nareście mówią do siebie:
Co się to stało téj kurze,
Co ona widzi tam w górze!
Kwoczy, kwoczy jak w malignie:
Przecież i my oczy mamy,
Jak możemy, wytrzeszczamy,
A nic nam się ani mignie.

Ale kiedy tak i mówią i szydzą,
Nagle w górze widzą
Jakiś punkt czarny, ale tak wysoko,
Że go zaledwie dostrzedz mogło oko.
Punkt ów po chwili niby widoczniejszy,
Niby coś większy, czarniejszy,
Jak muszka, pszczołka, motyl bujający,
Gdzieś tam pod niebem krążący.
A gdy tak ciągle zwiększa się co chwila,
Patrzą, aż z owéj pszczołki i motyla,
Z owego punktu, co był okiem niedosiężny,
Zrobił się jastrząb potężny.

Krzyk więc i hałas, pełno wrzawy, strachu,
Jak grad leć z dachu;
Każdy zmyka,
Do kurnika,

Ale już jastrząb prześcignął je w pędzie,
Żaden się przed nim nie schronił,
Dobrze zmykały, lecz on lepiej gonił;
Wszystkie wydusił na grzędzie.

Gdzie idzie o dziatki,
Czegóż tam oko nie dostrzeże matki.



KOT I SZCZUR STARY.

(Z Lafontena.)



Zaden kot w świecie nie słynął z dobroci,
Lecz wszystkie przeszedł w złości pewien Matys bury,
Jakiś rzeźnik, Atylla, jakiś Herod koci,
Istny bicz Boży na szczury.
Wszystko się przed nim na pół mili kryło,
W najgłębszej drżano zaciszy;
I jakby niedość na szczurach mu było,
Uwziął się jeszcze świat wyludnić z myszy.
Nigdy o takim łotrze nie słyszały
W żadnym myszym dziejopisie;
Co tylko łapek, sideł, trucizn znały,
Niczem były przy Matysie.

Raz więc wśród nocy, gdy mu głód dopiekał,
I już oddawna próżno czychał, czekał,

Myszki się kryły w swych dziurach,
Zaczął zdechłego udawać przed niemi;
Gdzieś się tam w górze na wiszących sznurach
Zawiesił łapy tylnemi.
Myszki zaledwie dają oczom wiarę,
Myślą, że musiał kogoś tam podrapać,
Jakieś kurczątko lub też serek złapać,
I że wreszcie przebrał miarę;
Przyszła kryska
Na Matyska,
I oto dynda za karę.

Cieszą się wzajem i mówią do siebie:
Będziemyż skakać na kocim pogrzebie!
Wietrzą więc naprzód, wyścibiają główki,
I znów się w swoje chowają kryjówki;
To znów wysuną, to postąpią trochę,
To nakoniec śmiało, płocze,
Drobnemi sypią się kroki,
I nuż hulanka i skoki!

Kiedy w tém inne rozpoczną się susy;
Nasz wisielec zmartwychwstaje,
Na głupią rzuca się zgraję,
I spaseł dusi nygusy.
Nie na tym koniec. Mam ja sztuk tych krocie.
Tak do uciekłych myszy zdala powie;
Jeszcze wam figle nieznane są kocie:
Wszystkie do jednej wyłowię.

I w istocie krótko trwało —
A jak przyrzekł tak się stało.
Ledwie pierwszy wieczór szarzał,
Cały w mące się wytarzał,
Zwinał w kłębek i tak leżał.

Głupi lud myszy prosto na śmierć biegał.
Gdy wtém szczur pewien słynny z sprytną głową,
Zwąchał podstęp nowy.
Był to frant stary, gracz i sztukmistrz znany,
Wreszcie wojak zawołany,
Co nie raz tego kotom się odplacił,
A nawet ogon w batalii stracił.
Ta biała kupa zbyt mi podejrzana —
Tak do kociego ozwie się Szatana:
Bądź jak chcesz mąką: żadnym ja pozorem
Nie dam uwieść siebie;
Bo choćbyś nawet i całym był worem,
Nie pójdę ja tam do ciebie.

Strzeżmy się w zbytniej przesadzać wierze,
Nie każdy godzien ufności;
Strzeżonego Pan Bóg strzeże,
Roztropność matką pewności.



ROPUCHA.

Rozważ wprzód dobrze z kim się chcesz mierzyć.
Sproсна ropucha wzdęta i nabrzmiała,
Z bagniska jadem pryskała.
Jaś ją chciał kijem uderzyć.
Gdy w tém: stój chłopeze — krzyknie ojciec stary —
Na co ci głupio się kazić?
Aby dosiadał téj poczwary,
Trzebaby w błoto jój włożyć.

POJAZD I MUCHA.

Sześć koni w ciężkiej idących landarze,
W piasku, pod górę i w ogromnym skwarze,
Potem i pianą okryte,
Stały naraz jak wryte.
Skoczył z tłomoka Grzegorz, hajduk stary
Wyszli wreszcie i z landary,
Zśród licznych pudeł, paczek, zawiniątek,
Jejmość, Jegomość i mędel paniątek.
Krzyczał i wołał Grzegorz zadyszał:
Jak mógł biedny, pchał, pomagał,
Wach przeklinał, biczem smagał,
Konie jak stały, tak stały.
Kiedy w tém nagle z boku pędzi mucha;
I nuż im brzęczyć i dodawać ducha:
Raz po raz, po łbie, słabiznie,
Tego kolnie, tego liźnie.

Lata i lata — a łaje i trzepie:
Nie skaranieź jest to nieba,
Wszystko za nich robić trzeba:
Pan fajkę pali, Jejmość pacierz klepie,
Tam znów śpiewają panienki,
Właśnie jak gdyby szło tu o piosenki!
Męczy się, męczy,
Pędzi i brzęczy.
A gdy nareszcie już rusza kareta,
Siada na koźle, na nosie stangreta,
I sama sobie za tak wielką sprawę,
Trąbi na sławę.

Zdarza się człowiek przekonany w duszy,
Że nic się w świecie bez niego nie ruszy;
W każdą więc sprawę wmiesza się i wtrąci,
Wszystkim chce dodawać ducha.
Zwija się, szasta, a bróździ i mąci:
Nasza to mucha.

SZCZUR CHORY.

Pewien szczur na śmiertelnej już leżał pościeli,
A więc nuż go odwiedzać mnóstwo przyjacieli;
Coraz i coraz większa pomnaża się rzesza,
Ten radzi, ten żałuje, a każdy pociesza.
Próżno prosi i błaga ich o pokój święty;
Liczniejsze jeszcze pędzą cieszyć go natręty.
Aż wreszcie wszyscy w jednej wynoszą się nocy,
I on téż w krótkce z swojej powstaje niemocy.
Lecz jakże nagle czarna rozpacz go ogarnie:
Pocieszyciele całą wyjedli spiżarnię.
I tak smutna ofiara straszego zawodu
Wydobrzawszy z choroby, musiał umrzeć z głodu,

DMUCHACZKA I WĘGIEL.

Z trzaskiem węgielek z kominka skoczył,
I ku wiórom się potoczył;
Czuł biedaczek, że gasł, marniał,
Wielki więc go żal ogarniał;
Gdy w téj właśnie saméj dobie,
Dmuchaczkę ujrzał przy sobie.
Przyszłam tu, rzecze, ku twojej potrzebie,
By cię od zgonu ocalić,
Pozwól mi tylko dmuchać na ciebie,
Dawnym cię ogniem zapalić.
A jeżeli ci się szczęsnym trafem zdarzy,
Że przez cię wielki płomień się rozżarzy —
Ileż to będzie i dziwu i sławy,
Ile blasku, ile wrzawy.
W tym tak szczytnym żarze, dymie,
Wielkie sobie zrobisz imię;

Będziesz wszędzie głośny, znany,
I w gazetach drukowany!

Słyszac to węgiel iskrzy się, promieni,
Błyśnie, dumą rozplamieni,
A wciąż butnego dodając mu ducha,
Dmuchaczka dmucha i dmucha.
Wybuchł też nagle ogień wydmuchany:
Zajął się wiórek, po nim belki, ściany,
Huczał, wrzał pożar nad wyniosłym dachem
Jakby piekielna nawała,
Aż wszystko z całym zwałiło się gmachem,
Dmuchaczka nawet zgorzała.

Godne wzgard świata i złoczyńców taczki,
Największych może nieszczęść winowajce,
Krajowych niezgód pokątne dmuchaczki,
Was to skryśliłem w téj bajce.



ŻYD I OSIEŁ.

Miał raz żyd osła, którego tak zgłodził,
Że już ledwie chodził;
Aż litość brała, serce się krajało,
Patrzac co z owém osłatkim się stało:
Z całej mu dawniej piękności,
Zostały tylko i skóra i kości.
Wsiadł on nań przecież, aby w dzień targowy
Skręcić jakiś szacher nowy.
Lecz go próżno nęka, zmusza,
Osieł się z miejsca nie rusza;
Wali piętą, kijem łoi,
Osieł jak stanął, tak stoi.

Innego może rozpaczby uniosła,
Zrzekłby się pewno i targu i osła,

Ale od czegoż główka kaima?
By złamać, przeprzeć osła opór dziki,
Bierze więc siana, czepia w końcu tyki,
I tak zdala przed nim trzyma.

Osieł nasz chciwie wytrzeszczając oczy,
Chciałby się siankiem posycić,
Siega więc, siega, a nie mogąc schwycić,
Zwolna za nim kroczy.
Kroczy i nogę za nogą stawia,
I zawsze próżno głodny pysk rozdziawia:
A żyd tymczasem jak jedzie, tak jedzie,
I głupiego osła wiedzie,
I póty wiedzie i bije i siecze,
Aż się z tryumfem na ów targ dowlecze.

Tak to ku świata ohydzie,
Zwodzą się ludzie i narody zwodzą,
Nęcą je, wabiają, głupich za nos wodzą,
A osielek idzie.



SZYNA ŻELAZA.

Szyna żelaza w ogniu rozgorzała,
Tak pod młotem narzekała:
Kiedyż się tego tyrana pozbędę,
I dopókiż znosić będę
Takie i ciosy i męki!
Ale próżne skargi, jęki,
Póty ją bito, tłuczono,
Aż ją na młot przerobiono.
Zapytasz mię zapewne co robiła potem?
Z wszystkich młotów najsroższym była dla szyn młotem.

MŁODY DĄB.

WV pośród dębów zwalonych przez wichę straszliwą,
Wznosił się młody dąbek, rosły ale krzywy;
Zaledwie kilka nędznych gałęzi rozwodził,
I cudem chyba kiedy jaką żołądz zrodził.
Lecz, że to nie nowiną na tym świecie bywa,
Że i w kłocu niezgrabnym duma się odzywa,
Gromom więc czoło swoje stawia z urąganiem,
Orła nawet przyzywa, aby zasiadł na niem.
Lecz orzeł tak mu rzecze: nędzny szczątku lasów,
Duma twoja pochodzi z smutnej zmiany czasów —
Upadły pierwsze dęby, ztąd się pierwszym mniemasz,
I dla tegoś jest wielkim, że już wielkich niemasz.

SURDUT.

Miał pewien biedak coś nakosztalt sukmany,
Jakiś surdut kusy, bury,
Lecz już dobrze podszastany,
I na obu łokciach dziury.
Wstydno było patrzeć na nie,
Zwłaszcza zimno niesłychanie,
Bo mu wiatr przez nie załatał;
A więc wziął się do naprawy:
Na stopę obciął rękawy,
I łokcie niemi załatał.

Wyszedł kontent z wynalazku.
Aż tu zewsząd pełno wrzasku,
Wszyscy się dziwią, dumieją,
Z kusych rękawów się śmieją.
I nuż w drwinki i zaczepki,
Że mu piątój braknie klepki.

Nie braknie! biedak zawoła —
I konceptem nowym ruszył:
Obciął swe poły do koła,
I dwa rękawy z nich uszył.
Lecz gdy tak zawsze naprawiał,
Tu obcinał, tam nadstawiał,
A wciąż kładł łaty na łaty,
Skończył jak wszystkie kończą obdartusy.
Spencer mu tylko z całej został szaty,
I do tego bardzo kusy.

Tak gdy niejeden traci włosć po włosci,
I straszny pizus koło Jegomości,
Równie się próżno i krząta i znoi.
Szczęśliwy, jeśli za te prace, trudy,
Jakiś mu się tam kapitalik chudy
Na biedną starość okroi.

SPEKULANT.

Pewien spekulant zmyślny, zagorzały,
Swoje i cudze zjadłszy kapitały,
Nowe, olbrzymie zaczął roić plany;
Gdy w tém zajrzał w kątek ściany,
Gdzie właśnie pajak siatkę swą rozstawił,
I muszki chwycił i dławił.
Cóż to za podstęp! rzekł pełen zgorszenia —
Głupiutkie łapać stworzenia,
Męczyć, dusić tak szkaradnie!
A pajak na to: może to nie ładnie,
Przecież téj co ty szukam ja korzyści,
I zrzeczność moja też sama,
Muchy — są moi akcyoniści,
A siatka — moje programa.

WĘDKA.

Zrobiwszy wędkę z prętka i nici,
Jaś najpewniejszy, że karpia schwyci,
Wziął się do dzieła.
Jakoż po chwili wędka zadrgnęła:
Ciągnie prątkiem, ciągnie nitką.
Cóż wyłowił? żabę brzydką.

Tak nie jednemu zdarza się śmieszkowi:
Sięga po dowcip, a głupstwo wyłowi.

ŚWIĄTYNIA SZCZĘŚCIA.

Równie jak inne Bogi i Boginie,
Szczęście ma swoją świątynię;
Lecz się od innych różni jęj budowa.
Wyniosłym szczytem nie sięga obłoków,
Okropnych światu nie głosi wyroków,
W cichem ustroniu się chowa.

Zaledwie ludzie wieść o nięj powzięli,
Przez przepaści niedostępne,
Przez góry, skały i lasy posępne,
Hurmem się do nięj cisnęli.

Potężny mocarz wśród żądz niespokojnych,
Co się krwią ludów nieszczęśliwych zmasał,
Przybył najpierwszy z milionem zbrojnych
Szturmem ją dobyć rozkazał.

Ale potężne mocarza oręże
Jakaś nieznana moc nagle odpiera,
Poznał, że nigdy szczęścia nie dosięże
Ten, co je innym wydziera.

Z głębi swych gmachów z niezmiernym pośpiechem
Dąży tuż za nim Krezus znakomity;
I z dala swoje wywodząc zaszczyty,
Zbliża się do nięj z uśmiechem.
Chce złotym kluczem otworzyć świątynię:
Wciska go, kręci, coraz silnięj wtłacza,
Gdy wtém na twardej pękając sprężynie,
Kruszy się w ręku bogacza.

Taż samą drogą i w tęż samą stronę,
Gdzie już tyle śladów było,
Sercem i młodą ufnością wiedzione,
Dwoje kochanków dążyło.
O jakże pewni swego szczęścia byli!
Cóż, gdy w pół drogi zbłądzili.
Gdzie spojrzą same zawady,
Groźne skały i urwiska;
Wśród przepaści droga śliska,
I zbłąkanych ofiar ślady.
Tyle wreście smutnych zdarzeń
Spotykali po kolei,
Tyle rozproszonych marzeń,
Tyle rozbitych nadziei,
Iż z ciężką serca żałobą,
Wrócili płacząc nad sobą.

Długo i długo te pielgrzymki trwały,
Zawsze ktoś nowy przybywał,
To się filozof, to głupiec zuchwał,
Do drzwi świątyni dobywał.
Z starym się wiekiem prześcigał wiek młody,
Dziecię co ledwie umie się spodziewać,
A nawet wieszcz co swojemi ody,
Chciały się szczęścia dośpiewać.
Lecz wszystkich jedna trzymała zawada,
Żadne jój siły nie zmogły,
Ni łzy, ni prośby, ni przemoc, ni zdrada,
Świątyni zdobyć nie mogły.
Aż kiedy całe odeszło już grono,
Zbliżył się człowiek chęci dobroczynnych;
Przybył upraszać o szczęście dla innych —
I po prostu go wpuszczono.

OSIEŁ, MAŁPA I KRET.

Orzko raz osieł narzekał na Bogów,
Że wprowadzie pięknie stworzony,
Lecz że do obrony
Nie dały mu rogów.
Że go ztąd każdy i dręczy,
I męczy,
Kijem, jukami okłada,
Słowem, jak na osła wsiada.
Oj! gdybym kiedy dostał je w podziale —
W strasliwym ryknął zapale,
Dopierożbym to przy moim rozumie,
Pokazał światu, co to osieł umie.

Z drugiej strony w cieniu krzaczka,
Siedziała małpa zmartwiona,
I płakała nieboraczka,
Że jój nie dano ogona.

I cóż ja pocznę, biedna, nieszczęśliwa —
Tak się w swym żalu odzywa —
Ja skrzywdzona tak niegodnie!
Ni sobie wstydu oszczędzić,
Ni się czém muchom opędzić,
Ni nawet usiąść wygodnie!

A wręście jakże nie mruczeć na losy,
Na te okrutne Niebiosy,
Widząc ogonów tak wiele!
Samaż go tylko mam wzywać daremnie?
W czymże ta owca, lub to głupie cięło,
W czymże są lepsze odemnie?

Słyszą to inne i małpy i osły,
I nuż za niemi i w szlochy i w płacze,
Okropne ryki się wzniosły,
Straszne lamenty, rozpacz.
Gdy się wtem nagle ich głupstwem znudziwszy
Gdzieś tam kret ślepy krzyknął na uboczu:
Ciszój bluźnierce! któż z nas nieszczęśliwszy,
Wy bez rogów, ogonów, czy też ja bez oczu!

Jakżeby często powtarzać to trzeba,
Co nam ta bajka wymienia:
Nim o twe losy będziesz skarżył Nieba,
Spojrzyj na bliźnich cierpienia.



JEŻ I CHŁOPCY.

Jeżąc pod krzaczkiem Jeż w kłębek zwinięty,
Wszystkie swe kolce nadstawił;
Staś go swojemi chciał ująć rączęty,
I strasznie biedak się skrwawił.
Nie tak go chwytać należy —
Dowcipny Stefuś mu powie:
Jest inny sposób na Jeży,
I zaraz tego tak złowię.
Rzekłszy to, kilka jabłek rumianych,
Świeżo co z drzewa zerwanych,
W bliskości Jeża położył.
Jeż się z razu patrzył boczkiem,
Chciwem na nie strzelał oczkiem,
Ale się wahał i trwożył.
Kiedy w tem nagle zrywa się z pod krzaczka,
Do smacznych bieży jabłuszek,
A ten mu rączkę wsuwa pod brzuszec,
I tak chwyta nieboraczka.

Walcz jak chcesz z ludźmi pewnemi,
Zwycięstwem się nie poszczycisz;
Ale wszystko zrobisz z niemi,
Gdy ich za brzusek podchwycisz.

— ❖ —

KOT I MYSZKA.

—

Onego czasu pewna myszka mała,
Wyszedłszy sobie pod nocy zasłoną,
Nieszczęsnym trafem kota napotkała,
I już miała być zjedzoną.
A więc krzyczy niesłychanie:
Stój, stój dlaboga, zatrzymaj się Panie!
Czyś ty nie jest owym kotem,
Co się Łapimyszką zowie?
Tak jest, kot rzecze, lecz zkądże wiesz o tem?
A ta mu na to odpowie:
Przypomnij sobie jak dziś tydzień trzeci,
Wpadłeś tam w jakieś zastawione sieci,
Jakoś płakał i narzekał,
I już pewnej śmierci czekał;
Gdy cię mysz jedna już wiekiem pochyła,
Z téj niedoli wybawiła
Widzę ja Panie, że jój pamięć tkliwa,

Dotąd cię jeszcze rozczuła;
Otóż to, otóż ta mysz litościwa,
Była to moja matula.
Zmarła, lecz tyś ję przy śmiertelnych śmieciach,
Przyrzekł tę litość odpłacić na dzieciach —
Daleś słowo kocie.
Ach tak jest, rzeczy z łzami, przysiągłem w istocie
Nie tylko sam was oszczędzać,
Ale i drugie koty gryźć, odpędzać —
Wszelkie odpychać napaście.
Lecz powiedz mi moja miła,
Ileż twa matka dziątek zostawiła?
Myszka mu na to: — dwanaście.
Dwanaście! kot zawoła, o lube istoty!
Biedne myszeczki! niewinne sieroty!
Jakże im przykro być musi bez matki!
Wszystkie przybieram za me własne dziatki.
Zwołaj je, zwołaj, niechaj je zobaczę,
I z tą przybraną poznam się rodziną.
Biegnie mysz nasza i z radości skacze,
Pędzi jak gdyby z najlepszą nowiną;
Woła na wszystkie siostrzyczki, braciszki;
Lecą głupie myszki.
Gdy w tem kot zdrajca nagle na nie wpada,
I zamiast jednej cały tuzin zjada.



CZŁOWIEK I RAK.

Nie dla wszystkich natura w swych darach jednaka.
Dziwił się strasznie człowiek patrzący na raka.
Jakże się można, rzeczy, tak śmiesznym urodzić,
By koniecznie inaczej, niżli drudzy chodzić.
Cofać się całe życie! Jestże tu w téj głowie
Chociaż trochę rozsądku? — Prawda, rak odpowie:
Lecz któż wie, gdy się obaj osądzimy szczerze,
Czybyś ty sam nie zyskał, ty tak światłe zwierze,
Coś może wiele dociekl, lecz więcej porzucił,
Gdybyś idąc mym śladem, czasem wstecz się zwrócił.



DWÓR LWA.

Sultan, Lew pierwszy, ciekawością zdjęty,
Jakiemi włada zwierzęty,
Wydał rozkaz z Lwiegogrodu
Przez nadwornego otrąbiony osła,
By z każdego zwierząt rodu
Przysłano mu posła.
Bóg wie, co w swoim przyrzekał firmanie:
Naprzód potężnej łapy całowanie,
Po niem bankiety, łaski, względy swoje,
Przez cały miesiąc otwarte pokoje.
Wreście by dowiódł, jak ceni wysoko
Miłe mu zewsząd posłańce,
Każe, by przez swe i skoki i tańce,
Wślawiony bawił je Żoko.
Spieszą więc pełni radości, nadziei,
Posłowie różnych i borów i kniei.

Do Lwiegogrodu przychodzą
Ale zaledwie staną w progach pańskich,
Jakże się strasznie zawodzą!
Na miejscu komnat sułtańskich
Cóż widzą? jamę pełną nieczystości,
Mnóstwo trupów, mnóstwo kości;
Straszny je fetor zalata.
Skrzywił się niedźwiedź, głupi prostak lasów.
Sultan podobnych nie cierpiał grymasów,
I udusił deputata
Słusznie! zbyt słusznie! małpa się odzywa,
Równie z pochlebstwa jak strachu;
I nuż o wielkim, cudownym zapachu,
Który się zewsząd rozplywa.
Czemże, zawołała, są wszystkie kadzidla,
Wszystkie kwiaty i pachnidła,
Przy téj woni twego dworu,
Którąśmy wszyscy uczuli!
Ale nasz sułtan dziwnego humoru,
Jakiś krewniak Kaliguli,
Równie pochlebstwa jak prawdy nie lubił,
I drugiego posła ubił.
A wy co na to? panie deputacie —
Rzecz do lisa — jakże Waszmość twierdzi?
Powiedz co w mojej uczuleś komnacie:
Czyli tu pachnie, czy śmierdzi;
Lis na to: Panie, jako sługa wierny,
Szczerą, najszczerszą prawdębym wyjawiał,
Ale mam katar niezmierny,
Który mię węchu pozbawił.

Chcesz żyć na dworze zręcznie się układaj,
Zbytecznych pochlebstw, ostrych prawd nie gadaj;
Tam gdzie na jednym włosku los twój wisi,
Z wszystkich rozumów najlepszy jest lisi.



DWA ZAJĄCE.



Długą chartów gonitwą strudzone niezmiennie
Dwa zające przed śmiercią schroniły się w ciernie.
Zrazu cicho siedziały, lecz po krótkiej dobie,
Zaczął się młodszy kręcić i wyrzekać sobie,
Że jeszcze w takim piekle w swem życiu nie siedział.
Nie przesadzaj młodziku, starszy odpowiedział —
Lepiej zawsze pod cierniem niżeli w pogoni;
Prawda, że trochę kole, ale życia broni.



KACZKA I PISKORZ.

Najżarłoczniejsza z wszystkich w świecie kaczek,
Nagle piskorza spotkała w upuście;

Co za wyborny przysmaczek!

Jak spory, tłusty, właśnie w kaczek guście!

A więc nad wszystkie nadzieje szczęśliwa,

Naprzód z nim igra, drażni go i nęci,

To chwyta, puszcza, to znowu porywa,

Cieszy się, gdacze, i ogonkiem kręci;

Aż wreszcie równie żarłoczna, jak dzika,

Całego na raz połyka.

Ale zaledwie, że został połknięty,

Scena ta stokroć śmieszniejszą się staje;

Piskorz z natury i śliski i kręty,

Nagle w kaczce zmartwychwstaje

I nim się biedna spostrzega,

Już ją na wylot przebiega.

Cóż to jest? krzyknie, i stawa jak wryta —
Czym go połknęła, czy mi się też marzy?
Więc przez ciekawość drugi raz go chwyta.
Lecz i tą razą, nie lepiej się darzy:

Zaledwie, że go porwała,

Już ją przeleciał jak strzała.

Z strasznym więc gniewem ku niemu przybieży
Depce go, dziobie po łbie, po ogonie,

Lecz zaledwie, że go schłonie,

Jużci za nią leży.

Kaczka choć kaczka ledwie nie głupieje,

Pojąć nie może, co się to z nią dzieje.

Kiedy wtem zdala pewien kaczor bury,

Co się téj scenie przypatrywał z góry

Tak jój swe zdanie odtworzy:

Nie masz talentu zjadania piskorzy —

Tak go strawić niepodobna —

Nigdy ci się nieposzczęści:

Lecz go przetnij na trzy części,

I każdą połknij z osobna.

Co za dowcip! kaczka rzekła —

I jak kazał tak rozsiekła.

Strawił się luby przysmaczek,

Piskorz już się nie odrodził;

A nasz kaczor w pośród kaczek

Za wielki rozum uchodził.



ZDARZENIE Z NOSEM.

Dykteryjka staropolska.

Stał za stolikiem synek Cześnika
Gdzie kilku Panów grało z sobą ćwika;
A między nimi krótki i pękaty,
Jakiś szlachetka dziwnej facyaty,
Z krzywą bródką, rudym włosem,
I nadzwyczaj wielkim nosem.

Chłopiec ów zrazu cichy i skromny,
Patrzy i graczków obchodzi do koła;
Kiedy wtem nagle zawoła:
Co za nos ogromny!

Spojrzał się srogo Cześnik na syna;
Przełękł się, zadrżał chłopczyzna.
I woła wznosząc głos drżący i cienki:
Jakiż to nosek maleńki!

Już też naówczas jakby zjadła osa
Zrywa się Cześnik i za bat porywa,
A chłopiec z wielkim krzykiem się odzywa:
Ten pan niema nosa!

Bije więc Cześnik, w całym bije gniewie,
Zda się, że chłopca chce dobić,
A biedne dziecię w swą rozpacz nie wie,
Co z tym nosem zrobić;
W różny więc sposób i woła i krzyczy,
A gniewny ojciec coraz gorzej ćwiczy.

Tak i my co to lubimy rozprawiać,
Kiedy się z głupstwem wyrwiemy,
Chcemy się niby, ratować, poprawiać,
A wciąż gorzej brniemy.

STAL I KRZEMIĘ.

Tyżeś to źródło klęsk i nieszczęść wiecznych —
Tak stal na krzemień powstanie —
Tyżeś to mały wulkanie,
Pełen iskier niebezpiecznych.
Ogień ukryty w twem łonie
Całe wioski, miasta chłonie
Najstalszój grozisz budowie,
Najsroższy żywioł rozszerzasz. —
Prawda jest, krzemień odpowie:
Ale czemuż mię uderzasz?

Ta odpowiedź śmiała
Ilużby ludom przystała.

KUBEK I KOSTKI.

Tłukąc się biedne kostki godzin kilkanaście,
Cieszyły się niezmiernie gdy padło — dwanaście.
I cóż wam z tego przyjdzie? — kubek się odzywa:
Wy się głupie tłuczecie, a sam gracz wygrywa.

WYBÓR ŻONY.

Sławetny Bartosz gdzieś tam w małym mieście,
W średnim już wieku i na pół siwawy,
Lecz jeszcze czerstwy i żwawy,
Chciał się ożenić nareście.
Miał on swój domek na rynku,
Kawał roli, sklep do szynku,
Przytem grosz obfity,
Więc na męża wyśmienity.
Szukał małżonki, a że, jak to bywa,
Nigdy na takim towarze nie zbywa,
W bliskości siebie, bez łamania głowy,
Wynalazł sobie dwie wdowy.

Jedna z nich była młoda, czuła, rzewna,
Druga dojrzała, lecz na żonę pewna ;

Trudny więc wybór i wielkie kłopoty ...
Gdy nasze wdówki z przymiloną minką,
Ciągłe się niby z żartu i pustoty.

Bawiły jego czuprynką.

Młodsza go chciała mieć młodszym, nadobnym,
A starsza więcej do siebie podobnym,
Wciąż mu więc z głowy włos po włosie rwały,

Jedna czarny, druga biały.

Aż go nakoniec ten żart tak zeszpecił,
Że głupią głową jakby dynią świecił.

Ho! Ho! tak z gniewnym ozwie się zapalem:

Jeszczem bez żony, a już wyłysiałem,

Cóż będzie gdy się ożenię?

Nie, nie bądź dudkiem Bartoszu.

Bądźcie mi zdrowe, kłaniam uniżenie.

Baby zostawił na koszu.

SŁOWIK I KRÓLEWICZ.

Wśród wdzięcznej wiosny, w najpiękniejszym maju,
Młodziuchny Książę wraz z swoim mentorem
Przechadzał się w gaju.
Rzadko natura takim wdzięków zbiorem
Jedno ustronie okrywa;
Przecież, jak to zwykle bywa,
Wszystko nudziło Księcia Jegomości —
Taka to korzyść wielkości.
Kiedy wtém nagle słyszy głos słowika;
Nieznana dotąd radość go przenika,
A choć dziecięciem,
Że jest Książęciem,
Już mniema, że wszystko może.
Złapię go, woła, i do klatki włożę.
Lecz słowik takich nie lubi igraszek:
I gdy on niebacznie,
Zbliżać się zacznie,
Zerwie się ptaszek.

Skądże to, rzeczce rozżalone dziecie —
Ta niesłuszność w świecie,
Że ta ptaszyna tak dobra i czuła
W tych się lasach tuła;
A na naszym pałacu tyle wróbli siada?
A Mentor na to tak mu odpowiada:
Masz w tém przestrozę, byś widział z daleka,
Co cię kiedyś na tronie ojca twego czeka:
Że podłość do drzwi twoich nie przestanie stukać,
Zasługa się zaś kryje i trzeba jej szukać.

Jeżeliś zbyt ciężył ludowi biednemu,
I twój go ucisk do wybuchu zmusił,
Biada, biada zduszonemu,
Biada i temu co zdusił.

SZKLANKA.

Pewien chłopyszek w dzień swoich urodzin
Dostał szklankę na wiązanie.
Cieszył się więc niesłuchanie,
I przez kilka bawił godzin.
Ale że dziwna czasem myśl przeleci
Przez głowę psotnych i niestałych dzieci,
Tak i nasz żwawy chłopyszek,
Chciał z szklanki zrobić kieliszek;
I pewien że to przez duszenie zdziała,
Dusił i dusił aby mu zmaląła.
Próżno się matka i gniewa i żżyma,
Woła że szklanka tego nie wytrzyma;
Chłopczyk nie słucha i wciąż mocniej ciśnie:
Gdy w tem szklanka pryśnie:
W liczne się części rozpadnie,
I chłopca krwawi szkaradnie.

TALAR I BANKOCETEL.

Nie prawdaż, żeśmy bracia! — takimi raz słowy
Ozwał się do srebrnego pieniądz papierowy —
Ja talar, i ty talar. — Przebacz! srebrny rzeczce:
Że zupełnie naszemu braterstwu zaprzeczę;
Moja wartość istotna, twoja pożyczana,
Mnie czysty zrodził kruszec, tyś powstał z galgana.

SKĄPIEC.

Za dawnych wieków,
Gdzieś tam u Greków,
Umarł pewien skąpiec znany,
Kutwa, lichwiarz zawołany.
Gdy więc zwykłym rzeczy biegiem,
Stanął po nad Styxu brzegiem,
I Charon z łódką zawinął —
Skąpiec wśród wielkiej obawy,
By nie płacił od przeprawy,
Wskoczył w rzekę i przepłynął.
Rozgniewany Minos stary,
Chcąc najsroższej użyć kary,
Coby skąpcowi dopiekła
Gorzéj, niż sam ogień piekła.

Kazał go za Styx wysadzić,
I na ziemię odprowadzić;
By widział jak jego zbiory,
Młode trwonią sukcesory.



W O Ł Y.



Spojrząwszy na swój zagon szkaradnie zorany,
Katował biedne woły Bartek rozgniewany.
I cóż my temu winne? tak z nich jeden rzecze:
Nadtoś nas bił i szarpał okrutny człowiecze:
Gdybyś zręczniejsz kierować umiał wołki twémi,
I zagon byłby lepszym i my mniej bitemi.



UTONIONA.

Raz pewna Jejmość z głośnych kłótni znana,
 Babą sekutem, babą samcem zwana,
 Po długiej i żwawej sprzeczce,
 Kąpiąc się w bliskiej utonęła rzeczce.
 Mąż jej, co w wiecznej z nią się ścierał wojnie,
 Lecz jak pocziwiec, zawsze ustępował;
 Chciał ją pochować przystojnie,
 I, chociaż djabła, żałował.
 Na wzdłuż więc całe obchodził nadbrzeże
 Patrząc, czyli gdzie żony nie postrzeże;
 Dwóch przechodniów pytał, badał,
 Ale jej żaden nie zoczył.
 Idź niżej z wodą, jeden mu powiadał,
 Może prąd ją na dół stoczył.
 Nie, nie, rzekł drugi, idź raczej pod górę,
 Gdyż pewno w swojej przygodzie,
 Przez upór, sprzeczną naturę,
 Popłynęła przeciw wodzie.

Żart to był tylko, lecz mówiąc otwarcie,
 Była i prawda w tym żarcie;
 Bo kiedy lichu taką jędzę nada,
 Już się z maleńka kłóci i ujada.
 Kłóci się zawsze i wszędzie,
 Do zgonu kłócić się będzie;
 I gdyby jeszcze jaka możność była,
 Po śmierci by się kłóciła.

DWA BYKI I ŻABY.

Sądząc że ich swoboda nigdy nie przeminie,
Skakały sobie żaby po pięknej dolinie;
Miały słońce i wiosnę, traw i wody hojnie,
Wszystko je radowało, bo żyły spokojnie.
Gdy nagle dwa potężne buhaje przypadły,
O pstrokatą jałówkę tocząc bój zajadły.
Ziemia drżała pod niemi, tak się starły srodze;
Sądziłbyś że Farsalskie spotkali się wodze,
Że patrzysz na okropne dwóch Alejdów boje,
Lub że druga Helena drugą gubi Troję!
Zgodziły się nareście: lecz cóż po tej zgodzie,
Któż wskrzesi tyle ofiar, po ziemi, po wodzie:
Tysiączne pod ich stopą poginęły żaby.
Tyle to narobiły pstrokate powaby!

Tak bywało i będzie: zawsze słabsi tracą —
Wielcy wciąż głupstwa robią a mali je płacą.

APOLOG HISZPAŃSKI.

Woda. Ogień. Powietrze. Wstyd.

Woda.

Szukaj mię w gaju hiszpańskiej dziewicy,
Wśród ocienionej jaśminem krynicy,
Szukaj w kaskadzie, co się z skał urwiska
Spienionym słupem w grzmiącą przepaść ciska;
Wreście gdy do rzek lub do morza zajdziesz,
Jeżeliś mię stracił, tam mię znowu znajdziesz.

Ogień.

Szukaj mię w lawy ognistym potoku,
W sercu kochanki i w rycerza oku,
Szukaj mię w cichem, domowém ognisku,
Szukaj mię w gniazdach, szukaj w gromów błysku,

A śmiało memu zaufawszy słowu,
Jeżliś mię stracił, tam mię znajdziesz znowu.

Powietrze.

Szukaj mię, szukaj pod tem chłodnem drzewem,
Gdzie liść za każdym szemrze ci powiewem;
Szukaj, gdzie senną wody kłócąc ciszę,
Wiatr po niej łódką nadbrzeżną kołysze;
Szukaj wśród burzy co się miota gniewnie,
Jeżliś mię stracił, tam mię znajdziesz pewnie.

Wstyd.

Mnie zaś próżnobyś szukał, gonił bezskutecznie,
Bo gdy raz się rozłączym — rozłączym się wiecznie.



DZWONEK.

Smiali się z Pana Jakóba sąsiedzi,
Że jego synek zawsze jak mruk siedzi.
By się więc trochę rozruszał Szymonek,
Ojciec dał mu dzwonek.

Chłopiec gdy zabawkę zoczy,
Ledwie z skóry nie wyskoczy,
Dzwonić i dzwonić zaczyna.
Cieszy się Tatko nagłą zmianą syna,
Lecz gdy ciągle z dzwonkiem w dłoni
Lata i wciąż głośniej dzwoni,
Ojciec się kwasi i krzywi;
Wreście tak się znecierpliwi,
Że wydarłszy serce z dzwonka,
Wypycha za drzwi Szymonka.

Tak króle prawa dają i znów łamią,
Dają ów dzwonek a dzwonienia bronią;
Cóż się więc dzieje gdy króle tak kłamią?
Ludy na gwałt dzwonią.

DĄBEK.

Młodziuchny dąbek, nowój wiosny dziecię,
Kiedy się ujrzał na świecie
W pośród jodeł rozłożystych,
Dębów, klonów wiekuistych,
Wzniosłych pod same obłoki —
On co za ledwie był na cał wysoki,
Tak się na swą małość skarżył.
Tak je znajdował piękniemi,
Że o tém tylko dni i noce marzył.
Jak się zrównać z niemi.

Póki kto mały, póty jest pokorny.
Tak i nasz dąbek jeszcze nie pozorny,
Widząc dzikich zwierząt tłuszcę
Jak zdeptały całą puszcę,
Z pomiędzy trawek skromny głos podnosił,
I tak je prosił:

Lube zwierzęta, bądźcie mi litośne,
Dozwólcie niechaj i ja też urosnę;
A jak te wzniosłe teraz jodły, buki,
Służą ku waszój ochronie,
Tak i ja kiedyś wasze dzieci, wnuki,
Od gromów burzy zasłonię.

Dziwnym, szczególnym, niepojętym losem,
Trudnym nawet do wierzenia,
Owe tak dzikie i srogie stworzenia,
Pokornym dąbka wzruszyły się głosem.
Zaczął więc wzrastać swobodnie i śmiało,
Wszystko mu się uśmiechało:
Świeciły słońca majowe,
Łagodny wietrzyk go pieścił;
Coraz więc, coraz wyżej wznosił głowę,
Już nawet trochę szeleścił.
Ale gdy się tak po nad trawki wzbijał,
I pono szósty już listek rozwijał,
Ni ztąd, ni zowąd, jął niszczyć powoli.
Jakieś plamki żółte, spore,
Całą pokryły mu korę,
Niewiedzieć z jakiej niedoli.
Codziennie większy smutek go ogarniał,
Wszystkie mu listki zwiędniały,
I tak ciągle gasł i marniał,
Aż nakoniec usechł cały.

Wiecież zkąd taka zmiana niepojęta
W losach naszego biedaczka:

Oto gdy wszystkie upraszał zwierzęta,
Wszystkim wdzięczność zapowiedział,
Zapomniał prosić drobnego robaczka,
Co pod jego listkiem siedział;
Ten go też póty i toczył i trawił,
Póki życia nje pozbawił.

Strzeż się małością przeciwnika zwodzić,
Zginałbyś jak ta roślinka:
Najmniejsza nawet gadzinka,
Może ci na śmierć zaszkodzić!



Tak przez godzinę śmieszny spór prowadzi,
Dąsa się, rzuca i sam z sobą wadzi.
Wiecież co zyskał, że się z głupim klócił:
I echa nie przegadał i z chrypką powrócił,

FRANUŚ I ECHO.

Swawolny Franuś znudziwszy się w szkole,
Pierwszy raz w życiu wymknął się na pole;
I mile z swego korzystając czasu,
Chodził i śpiewał po nad brzegiem lasu.
Kiedy w tém nagle stanął zadumany,
Pojąć nie może, co mu się to zdarza:
Słyszy wyraźnie jakiś głos mu znany,
Co piosnkę jego powtarza.
Cóż to jest? woła — *cóż to*, głos odpowie.
Czy tu kto *skryty*? — *skryty*, się odzywa;
Rośnie więc walka i głośnie i żywa,
Kłóć się słowo po słowie.
Co tylko Franuś zagada,
Jużci echo odpowiada;
Im Franuś krzyknie donośniej,
Tém i echo głośniej.

TUMAN.

Patrzaj Piotrze, patrzaj Janie,
Któż to pędzi od Warszawy,
Jakież to biczów trzaskanie,
Jakaż to chmura kurzawy.
Wszakże to z taką paradą
Nie jechano jeszcze z nikiem,
Oczywiście z Królem jadą,
Lub przynajmniej z Namiestnikiem.
Zbliżają się owe blaski,
Grzmot pojazdów, biczów trzaski,
Szerzą się kurzu tumany,
Lecą Piotry, lecą Jany.
Cóż widzą? brykę podróżną,
I do tego wewnątrz próżną.
Iluż takich w świecie liczem;
Zdala czemsiś, z blizka niczem.

RZEŹBIARZ.

Wielkiem się dziełem pewien rzeźbiarz wslawił:
Samego Boga wystawił.
Chciał Nim przerazić świat ten poziomy,
I by ten przestrach podwoił,
Wzrok Mu nasrożył i w straszne gromy
Obie Mu ręce uzbroił.
Trwożą się ludzie, zbliżyć nie śmieją,
Drżą i truchleją,
Straszą je zwłaszcza te piorunów pęki,
Z każdej trzaskającej ręki.
Kiedy w tem jakaś dziecina się jawi,
I woła, Bóstwem przerażona srogiem:
Nie, Bóg ten nie jest matki mojej Bogiem,
Gdzież jest ta ręka, co nas błogosławi?

Niech wyżej górne sięgają pojęcia,
Mym Bogiem jest Bóg dziecięcia.

LATARNIA MAGICZNA.

Nie! — nikt tego nie wypowie,
Co się to czasem w małpiej roi głowie!
Widząc z nich jedna chowana we dworze,
Jak sam Jegomość o wieczorniej porze,
Dziatek swych gromadkę liczną,
Latarnią bawił magiczną, —
Straszną, niezmierną ciekawością zdjęta,
Siadła na środku komnaty,
I raz wraz między panięta
Wścibiała łeb swój kosmaty.
Lecz że dla małpy nie dość się radować,
Trzeba zaraz i małpować.
Wstaje więc rano o świcie,
Bierze latarnię, cicho się wymyka;
Gdzieś tam ku gumnu wynosi ją skrycie,
I stawia wewnątrz kurnika.
Pędzą całe drobiu chmury,
Lecą gęsi, kaczki, kury,

Po wszystkich cisną się bokach,
A małpa w susach i skokach,
Tak przemawia do swych gości:
Siądź prześwieć Publiczności;
Cuda świata ci obwieszczę,
I do tego gratis jeszcze
Patrzcie! Etny szczyt wspaniała,
Bucha ognie, miota skały,
Patrzcie! patrzcie! świat się rodzi,
Pierwszy księżyc, słońce wschodzi,
Jaka jasność! blask uroczy!
Patrzą więc, patrzą, wytrzeszczają oczy,
Patrzą ale nadaremno,
Wszędzie jakby w rogu ciemno.
Patrzcie, rzekł kogut, gdyście tak ciekawi —
Ja tę ciemność nienawidzę:
Z tych wszystkich cudów, o których nam prawi,
Jakem kogut nic nie widzę.
I my nic, mówią całe kaczek stada;
I ja nic, gąska powiada.
Co do mnie, rzecze indyk, chociaż się nie spieram ...
Przecież mówiąc sprawiedliwie,
Coś ja tam niby przezieram,
Ale co? — nie wiem prawdziwie.
Łzesz, nic nie widzisz, kot zawoła bury,
Co gdzieś tam patrzył się z góry —
Małpeczka szczerze was chciała
I pouczyć i zabawić;
Małeńkię tylko rzeczy zapomniała:
Świeczkę wewnątrz wstawić.

O wy panowie, bujni, chmurni, mgliści,
Na poł poeci, a na pół hegliści,
Wy co po ciemnych ideałów świecie,
Biednych tu ludzi wiedziecie,
Raz się na koniec zlitujcie nad niemi,
I przebóg bądźcie jasnemi,
Bo kto się sensu domacać nie zdoła,
Nie dziw, że o świeczkę woła.



MUCHA FILOZOF.

Pyszna raz muszka, mądra choć mała,
Z nosa Hegla uleciała,
I na tle zwierciadła,
Dumnie zasiadła.

Zasiadłszy, patrzy... patrzy chwilę długą
I z dziwem za szkłem widzi muchę drugą,
Siedzącą przed nią widocznie.
Nuż więc myśleć, zgłębiać pocnie,
Zgłębia — wreszcie tak zamarzy:
Któż wie, czy ta druga mucha,
Nie jest płodem mego ducha,
O którym Hegel nam gwarzy.
Nic lepszego nie wyroję,
Oczywiście *Ja* to moje!

Tworzę więc, tworzę, własną siłą tworzę,
I ta myśl moja wszystko jak Bóg może.
Gdy ktoś z klapką chodzący ku niej się odwrócił,
Uderzył, muchę zabił i na śmiecie rzucił.

ZAJĄC I WYŻEL.*)

Cezar, wyżeł znakomity
Nagle upatrzył zająca w kotlinie,
Który pewny, że już zginie,
Drżał i leżał jak przybity.
Poddaj się! grzmiącym głosem zawoła —
Jestem Cezar z zwycięstw znany,
Najtęższe zwałam brytany,
I nikt mi uciec nie zdoła.
Struchlał nasz zając na tak straszną groźbę,
A więc w prośbę:
Poddam się, poddam Najjaśniejszy Panie,
Lecz gdy się poddam cóż się ze mną stanie?

*) Jestto przekład a raczej naśladowanie bajki, którą Napoleon I. miał ułożyć w czasie pobytu swego w szkole wojskowej w Brienne. Pan La Bedolière ogłosił ją w swém piśmie: *Fables Populaires*. Autograf jój ma się znajdować u jednego z obywateli w Brienne.

Zjem cię. — Co! zjesz mnie? — Bez żadnej litości

Zjem cię do kości.

A jeśli drapnę? — Zgonię cię i zduszę! —

Gdy więc czy tak czy owak zawsze umrzeć muszę,

Więc zmykam! wrzaśnie zając — i hula babuła,

Zerwie się, leci jak kula.

Srogiby Kato

Zgromił go za to,

Ale my go nie poganim,

Że śmiał zawierzyć losowi,

I nie dał się zjeść wyżłowi.

Bo szczęsnym trafem gdy pies gonił za nim,

Strzelec co się niemylnym zawsze strzałem chlubił,

Źle mierząc, chybił zwierza, a Cezara ubił.

Zdaj się na los, gdy los cię tylko zbawić może,

A zresztą — pomóż sobie a Bóg ci pomoże.



MAŁPA I PIES.



Malpa swoim dowcipem niezmiernie zajęta,
Chwaliła się że wszystkie udaje zwierzęta.
Słuszny zaszczyt, pies rzecze, dumę twoją lechce,
Szkoda tylko, że ciebie udawać nikt nie chce.



KISZKOWSKI ZEGAREK.

Z napchany trzosem lecz z pustkami w głowie
Jadąc na wojaż pewien panicz młody,
Chciał się w zegarek zaopatrzyć wprzód —
Kupił go sobie w Kiskowie.*)
Kiskowski Patek! sztuczka to nie lada —
Tak sam do siebie powiada,
Nakręca podług miejskiego ratusza,
I do Rzymu rusza.
Przybył szczęśliwie: a że z mądrej rady,
Polecające z sobą zabrał listy,
Różne go pany, bankiery, artyści,
Zapraszały na obiady.
Panicz nasz mowny, przytém wesół, żwawy,
Wielce bawił Rzym ciekawy;

*) Kisków jest jedną z lichszych mieścin Wielkopolskich. Nie wiem czy ma ratusz i zegarmistrza, lecz nie wątpię, że w wieku tak ogromnego postępu wkrótce celować będzie niemi.

Zwłaszcza kiedy mu o Kiskowie gadał,
I za sześciu zjadał.
Wkrótce atoli sam sobie zaszkodził,
Przez wszystkich został wyśmiany,
Gdy na piątą zapraszany,
Zawsze o trzeciej przychodził.
Inny los całkiem czekał go w Lisbonie;
Wprawdzie go i tam, w miłym, grzecznym tonie
Jakieś możne Portugały
Do swych domów zapraszały,
Cóż, gdy pomimo że się wciąż wpatrywał
W swój zegarek niezawodny,
Zawsze zbyt późno przybywał,
I do domu wracał głodny.
Wściekał się z złości — gdy wtém na ulicy
Napotkał ziomka z swojej okolicy:
I nuż w swe skargi złorzeczne
Na wszystkie miasta stołeczne,
Że prawdziwą jest ohydą,
Jak ich zegary źle idą;
Na obiad trafić nie może.
A ten mu na to: żal mi cię nieboże,
Widać, że nie lubisz postu,
Tymczasem pozwól wyznać ci po prostu:
Głupstwa to twego jest wina,
U ciebie zawsze Kiskowska godzina,
Z nią tu nie trafisz do ładu.
Mając zegarek, miejże i w zwyczaju
Nakręcać go podług kraju.
W którym masz iść do objadu.

W jakie bądź puścim się strony,
Wszędzie rzeczy postać nowa:
W Lisbonie podług Lisbony,
W Kiszkanie podług Kiskowa.



MOPS I KOŃ.



Dzielnego ktoś rumaka po dziedzińcu wodził,
A mops śmiał się, że z lichéj kobyłki się zrodził.
Rodu mego, rzekł rumak, nie mam za ohydę,
Nie pytam zkąd przychodzę, ale dokąd idę.



GÓRA RODZĄCA.

Często gdzie wiele i huku i trzasku,
W skutku rzecz śmieszna i mała.

Pewna góra zlegnąć miała;
Takiego narobiła wrzasku,
Iż każdy myślał na ten huk i wrzawę,
Że najmniej jaką Warszawę,
Paryż, Rzym urodzi
A tu mysz wychodzi.

Tak i nie jeden autor poematu
Ogromne dzieło zapowiada światu,
Na samym wstępie puszy się i zżyma....

Lecz cóż wreście skleci?
Tak się i pęcherz nadyma:
Ściśnij, wiatr wyleci.

FLECIK.

W jednym kąciku stał flecik przy basie,
I rzekł do niego: Przyznaj mój grubasie,
Żem artysta doskonały,
Jeniuszek mały!

Ilekroć Stasio weźmie mię do ręki,
Jakież ze mnie ciągnie dźwięki,
Jakie trele, kuranciki,
Polki, mazurki, walczyki,
A wszyscy w lewo i w prawo,
Krzyczą mi brawo!

Głupiś! nasz grubas odmruknie mu z gniewem:
Jesteś jak ja niemem drzewem,
Nic sam z siebie nie wyciśniesz,
I bez Stasia ani piśniesz.

Co się z tem drzewem, to i z głupcem zdarza,
Gdy go gmin ciemny w podziwieniu słucha,
A on jak flecik to tylko powtarza,
Co mu ktoś nadmucha.

— ❖ —

SZCZUR I ŻABA.

(Z Lafontena.)

— — —

Pewien szczur, który nigdy o poście nie słyszał,
A tak tłusty, otyły, że już ledwie dyszał,
Chcąc raz o wiosennój porze
W kwaśnym się nieco rozerwać humorze,
Nad brzegiem bagna, w południowój dobie,
Spacerował sobie.
I dogodził swój potrzebie:
Bardzo był kontent i z wiosny i z siebie.
Kiedy w tem żaba wśród trawy ukryta
Nagle wyskoczy, uprzejmie go wita,
I tak mu powie
W swojej żabięj mowie:
„Odwiedź mię, odwiedź łaskawie,
„Prześliczny balik ci sprawię.“
Przystał natychmiast nasz grubas odęty;
Ona mu przecież dla większej zachęty,

Rozkosz kąpiei, ciekawość podróży,
 Tysiąc osobliwości wewnątrz swój kałuży,
 Zręcznie zaczęła przekładać:
 Co on to kiedyś w wieku podstarzałym,
 Swoim szczurkom małym
 Będzie miał powiadać:
 O pięknościach w cudzych krajach,
 O mieszkańców obyczajach,
 I o rządzie téj swobodnej,
 Rzeczypospolity wodnej.
 Lecz jój rzeź jedna była na przeszkodzie,
 Jakby to szczura utrzymać na wodzie;
 Bał się troszeczkę, bo mało co pływał,
 W taką żeglugę sam rozsądek zdrowy
 Puszczać mu się zakazywał.
 Nasza więc żabka po rozum do głowy:
 Bierze mu łapkę, bierze nóżkę sobie,
 I tak trawką pęta obie.
 Alć zaledwie puścił się biedaczek,
 Straszliwa żaby odkrywa się zdrada;
 Był to podług niej przedziwny przysmaczek,
 I już go w myśli zajada.
 Ciągnie go na dno — ten krzyczy, zaklina —
 Ta głębszego daje nura;
 On jój traktat przypomina —
 Ta drwi z traktatu i szczura
 Gdy więc już żadnej nadziei nie widzi,
 Bogów przyzywa — ta i z Bogów szydzi.
 Kiedy w tem kania leżąca o głodzie
 Ujrawszy bój ten na wodzie,

Spada na szczura jakby piorun jaki,
 Porywa z żabą i unosi w krzaki.
 Niewiem co mogła w téj straszliwej dobie
 Żaba myśleć sobie;
 Lecz gdybym ja się w takie dostał szpony,
 I jak ona był jedzony,
 Rzekłbym sobie, co stare przysłowie powiada:
 Kto pod kim dołki kopie, często sam w nie wpada.



Z W A D A.

Wśród wielkiej spieki, gdzieś tam z po za góry
 Zagrzmiał straszny ogrom chmury,
 A dwie kumeszki stojące za płotem
 Tak gadały o tem:
 Jedna z nich: kumo, okropny grad spadnie,
 I wszystko zbije szkaradnie,
 Stłucze, na proch zetrze.
 I jakby niedość było tej posuchy,
 Jeszcze głód przyjdzie, po głodzie powietrze,
 I będziem padać jak muchy.
 A druga na to: co wam się też dzieje
 Moja pani Marcinowa,
 Wszakże to chmura deszczowa;
 Śliczny deszczyk pola zleje,

Pszeniczka nam się odmłodzi,
 I sianu rady nie damy;
 A tyle żyta i hreczki się zrodzi,
 Że świat ten niemi zapchamy.
 Lecz gdy tak w swojej obstawiały zwadzie,
 Ta przy deszczu, ta przy gradzie.
 I tak się wręście zacięły,
 Że się już czubić poczęły;
 Zerwał się wicher, z całej zadał siły,
 Rozproszył chmurę i znikła bez śladu;
 A obie baby strasznie się dziwiły,
 Nie mając deszczu ni gradu.

Nie ciesz się szczęściem i nie dręcz przygodą,
 Które się może nie zjawią,
 Najczęściej obie cię zwiodą,
 A zawsze na śmiech wystawią.

KOT I BASIA.

Nigdy się kotek swojej nie zbędzie natury.
Zjadały Basi sadło i myszy i szczury;
Wsadziła więc Filusia — i cóż ztąd wypadło?
Zjadł naprzód szczury, myszy, a potem i sadło.

PTASZEK I RYBKĄ.

Szczęśliwa rybka! tak ptaszek rzecze:
Któż ję co zrobi, gdy w głąb uciecze;
Bez troski, strachu, w ciągłej swobodzie,
Igra po wodzie!
Mnie takiem szczęściem niebo nie obdziela,
Jastrząb goni, człowiek strzela:
Przykroż to, przykro dla biednej ptaszyny,
Zawsze w téj ciągłej żyć wojnie,
I jednej nawet lichéj odrobiny
Nie módz zjeść spokojnie.

Ależ i rybka w téj saméj dobie,
Gdzieś tam w swéj głębi tak mówi sobie:
Szczęśliwy ptaszek! jakże bezpieczny,
Gdy się wzbije w kraj słoneczny,

Nucąc i ziemi i niebu i wiośnie,
 Buja radośnie.
Buja, gdy rybka w ciągłej drży obawie,
 Tu ją straszy sieć zdradliwa,
 Tam szczupak goni po stawie:
 I to się życiem nazywa!
Boże, coś wszystko tak mądrze ułożył,
Czemuś mnie ptaszkiem nie stworzył?

Takim i człowiek żali się głosem,
 W swych skargach nudnych i długich.
Widzi on szczęście, lecz dziwnym losem,
Nigdy u siebie, zawsze u drugich.



LIS I STRZELEC.

— — —
Pewien strzelec co w kniei cały czas zmarnował,
Bo co strzelił to zpułdował,
W złym humorze, po znużeniu,
Usiadł sobie w cieniu,
Strzelbę w rękę trzymał,
I drzymał.

I psy się także do spoczynku wzięły —
 Nie czuwał strzelec,
 Zasnęły.
Ale lis wisielec
 Nie spał, przyczajony w krzaku;
Dobrze on oczy otwierał
Na kawał sera przedziwnego smaku,
 Co z torby strzelca wyzierał.
Dalej więc teraz póki pora wzywa,
Dopóki strzelec kiwa się i kiwa.

Uczonym zdrajcy wysuwa się krokiem,
To stawą, biegnie, to wolniej, to skokiem,
To znowu ciszką czai się i skrada,
Aż wreszcie torby dopada.

Widząc to strzelba swym ładunkiem dzielna,
W groźnym wołała zapale:
Co za kryminał, zuchwałość bezczelna,
Umykaj lisie bo ci w łeb wypalę;
Czyż nie wiesz zdrajco, że moja potęga
Żubrów, tygrysów, nawet lwów dosięga!

Próżno się z swoim piorunem odgraża —
Gdy strzelec zaśnie, któż na strzelbę zważa;
Lis nazbyt mądry, aby się zatrzymał,
Zręcznie korzystał z cichości i czasu,
Wyjadł co było i uciekł do lasu.
Strzelec jak drzymał, tak drzymał.

Tam gdzie na tronach gnuśne śpią mocarze,
Najsroższe prawo grozi lecz nie karze.
Nie cenim królów co się łatwo strudzą,
Stara ta prawda aż nazbyt jest jasną.
Lepiej jednakże gdy troszeczkę zasną,
Niż gdy się nadto przebudzą.



SŁOWIK I RÓŻA.

Dziwił się słowik róży, rosnącej nad wodą,
I ona się nad swoją dumiała urodą;
Ale gdy się dumiała, gdy ją słowik głosił,
Wiatr jej wdzięki rozwiewał, a strumień unosił.



KANAREK.

Kulcia hoża, żwawa, szparka,
Ślicznego miała kanarka.
Nadzwyczaj go też kochała,
A jakże kochać nie miała,
Gdy jój na paluszku siadał,
Dziobał z rączki, z buzi jadał,
Latał, skakał tak ochoczy,
I głos dziwnie miał uroczy.
Głos ten tak ją uszczęśliwiał,
Że w swój dumie rzekła sobie:
Wirtuoza z niego zrobię,
Co będzie świat ten zadziwiał.

I nuż go uczyć, i długo i wiele,
Wśród licznych zachęt, pieszczotek
Tak, że już w drugą niedzielę
Umiał: *Siadł kotek na płótek.*

Co dzień i co dzień większy szął rozgrzewał
Pyszniejszą coraz dziewczeczkę,
A cóż dopiero gdy za nią wyśpiewał
Śliczną o Wandzie piosieczkę.
I znów zaledwie dokazała tego,
Jużci go uczyć zaczęła:
Jeszcze Polska nie zginęła,
I mazurka Chłopickiego.

Ptaszek nasz wszystkie pojał piosenki,
Czystemi nucił je dźwięki,
Tak, iż się każdy i dziwił i dumiał,
Zkąd jeden ptaszek tyle rzeczy umiał.
Kiedy wtém nagle zaczął bałamucić,
Niby sam się z sobą kłócić,
Mieszał wszystkie dźwięki, tony,
Wrzeszczał, krzyczał jak szalony,
Julci, siebie nie pojmował,
I na koniec zwaryował.

A babcia na to: tak i z dziećmi bywa,
Kiedy wcześniej przemądrzeją,
Albo na wielkie wyrosną dziwa,
Lub jak ten ptaszek zgłupieją.

OSIEŁ I POETA.

Spotkał się raz z Ursynem osieł rozżalony,
I rzekł mu: zkądże takie rozsiewasz androny,
Że ja mam być najgłupszym; — nagródź mi to Panie,
Każ mi wyrzec w téj bajce jakieś górne zdanie,
Coś bardzo rozumnego! — A ten mu powiada:
Już też to mój kochanku czysta buffonada,
Gdybyś raz się w mych bajkach z zdaniem ozwał wzniosłem,
Ty byłbyś może mędrcelem, lecz ja pewno osłem.

WINOGRONO.

Niegdyś młodzieńczej i pogodnej myśli
Płochę i wesołe dzieci,
Jakiż wam wyrok ostry sędzia skryśli,
Jakaż wam gwiazda zaświeci?
Zawsze się w licznej rodzinie
Jakaś lichotka wylęgnie,
W téj to najpierw dziecinie
Pocisk mię złości dosięgnie.
A gdy się na nią zaprawi,
Tę wyśmieję, tę osławi,
Najlepszą nawet uszczypnie,
I tak każdej łatkę przypnie.
Widziałem wczoraj piękne winogrono,
Które dla drobnój Maryni niesiono.
Ledwie je zoczy, już ślinkę połyka,
Z lśnięciami leci oczyma,
Co za jagódki! wykrzyka,
I już w obu rączkach trzyma.

Nasamprzód z wszystkich bierze najpiękniejszą,

Dla Stasia swego przeznacza, —

Po niej dość piękną, lecz już trochę mniejszą,

I tą sama się uracza.

Zrywa i trzecią po chwili nie dłuższą,

Lecz jakoś znowu mniej piękną od drugiej;

A tak gdy idą do ustek nadobnych

Zawsze mniejsze od poprzednich,

Schodzi z miernych do poślednich,

W końcu do lichych i drobnych.

I tak coraz, coraz spada,

Aż nakoniec wszystkie zjada.

Któż to wie, rzekłem, może i ja mogę

Ten sam los wróżyć dla mojej gromadki;

I czule miłe pożegnawszy dziatki,

Dałem im krzyżyk na drogę.



VIII.

BAJKI

nie objęte pierwszym wydaniem.



WSTĘP DO BAJEK.

Gdzie możny pieniądz napusza się dumnie,
A zawiść cnoty stroi się pozorem,
Gdzie nowe błędy zlatują się tłumnie,
Stare znikają z oporem,
Gdzie kraje szpiegów i żandarmów pełne,
Gdzie nadto ostre są cenzury noże,
Gdzie prawdę trzeba obwijać w bawełnę —
Tam bajka przydać się może.

INNY WSTĘP.

Suchy morał zwykle nudzi,
A wymieniać głupstwa ludzi
Nie bardzo grzecznie.
A nawet bezpiecznie,
Najlepiej pono by was zabawić,
Zwierzętom scenę zostawić.
Niech wam lew własne głosi bezprawia,
Ciele was w swoim śmieszy sposobie,
Lis o swych sztuczkach rozprawia,
I osieł baje o sobie.
A jeśli czasem i człowiek się zjawi,
I zacznie w dumnym chwalić się zapędzie,
Żadne was zwierzę tyle nie ubawi,
Najlepsza bajka to będzie.



NAŁÓG.

Zebrał był Henryś młodych zwierząt kilka,
Prosię, i cielę, i lisa, i wilka,
I tak do siebie rzekł dumnie:
„Będę je chował tak mądrze, rozumnie,
Że skutkiem danej ogłady
Wszystkie ich dawne wykorzenie wady.
Świat jest w postępie — bydlę nawet czuje,
Że widocznie postępuje.“
Zaczął więc chować z swoim planem zgodnie,
Z każdym się zwierzem obchodził łagodnie,
To je zachęcał, to niby strofował,
Na najmniejsze zważał *ale*,
Słowem ślicznie edukował,
Zwłaszcza karmił doskonale.
A gdy był je już przemienił,
Stare grzechy wykorzenił,

Podniósł każdą cnotę, zdolność,
Powypuszczał je na wolność.

Ależ jaka straszna zmiana!
Czy natura, czy czart skusił;
Wilk na wstępie zjadł barana,
Lis dwie kopy kur wydusił,
Świnia nawet w swój sromocie
Rozwalila się na błocie.

Słowem wszystko się zlotrzyło,
Ciele tylko nie zdziczało,
Bo jak zawsze głupiem było
Tak też i głupiem zostało.

Czyliż i z ludźmi równie próżna praca,
Czy każdy do swych nałogów powraca?
Nie chcę o to toczyć sprzeczki.
Wolę dla ich dobrej sławy
Uwierzyć w możliwość poprawy,
I zacząć moje bajeczki.

—❖—

FRANIA.

—

Frania dobrem dzieckiem była,
Ale chciwem na pochwały.
Sama się chwalić lubiła
A to błędek jest niemaly.
Raz gdy wyszła z swojej chatki
By dla mamy zbierać kwiatki,
A już ich dużo zgarnęła,
Gdzieś tam w bliskości Olszynki
Na wielką radość dziewczynki,
Kukułka kukać poczęła. —
Woła więc, woła, siostry swęj Anteczki
„Pójdź, pójdź, słuchać kukuleczki!“
A ta jęj na to: „I kroku nie zrobię,
Ptak ten mnie nudzi i gniewa
Bo wciąż tylko jedno śpiewa
I zawsze mówi o sobie.“

—❖—

JAŚ I CHRABĄSZCZ.

Chcąc by mu chrabąszcz latał, lecz uciec niezdolał,
Jaś go na długiej nitce wypuszczał i wołał:
„Leć sobie nieboraczku, ja cię nie chcę dręczyć.
Masz wolność, możesz sobie i latać i brzęczyć.“
A chrabąszcz: „Znam cię, zdrajco, wzywasz mnie do lotu,
Byś mnie potem wstecz szarpiąc, przymuszał do zwrotu,
Przestań, mały Neronie, łudzić mnie daremnie.
Wolę śmierć, niż tę wolność, którą sztychasz ze mnie.“

IZIA I HENCIO.

Czyż to podobno — rzekła Izia mała
Bym wszystkich bliźnich kochała?
Jakże ich w sercu pomieszczę,
I w tak drobném jeszcze?

Więc się podzielim! — rzekł Hencio maleńki,
(Wisus, jak zwykle młodziki)
Ty sobie kochaj wszystkie chłopczyki,
A ja zaś wszystkie panienki!....

RÓŻA I PSZCZOŁA.

W albumie.

Pozwól Pani, niech w zbiorze tak drogich pomników
I ja kilka wierszyków
Na téj karcie złożę.

Nie gardź przedmiotem téj małej powieści,
Szukaj treści,
I w bajce prawda ukrywać się może.

Raz w lecie o rannym chłodzie,
Bujała sobie pszczołka po ogrodzie.
Miała pachnące ziele,
Miała rozliczne kwiaty
Nawet i pięknych i wiele.
Bo to był ogród w ozdoby bogaty.

Lecz ona, wielki niestatek,
Latała tylko z kwiatka na kwiatek.

Latała brzęcząc i jeszcze zuchwała
Chłubi się śmiała,
Że jój żaden do siebie przywiązać nie może.

Gdy nagle ujrzała różę, —
Wstrzymuje lot skory,
Zadumiona staje,
Pierwszą kochankę Flory,
Królowę kwiatów poznaje.

Piękność, przyjemność i ten pociąg miły,
Te tysiączne przymioty, których nikt nie zliczy,
Tak ową hardą pszczołkę zwalczyły,
Że odtąd tylko w nią szuka słodczy,
Żaden kwiat inny znęcić jój nie zdoła
I róży tylko, zawsze róży woła.

Pani, chciałem coś więcej jeszcze tu przyłączyć,
Na porównaniu chciałem te bajeczkę skończyć,
Kiedy nagle zasłona z twoich oczu spadła;
Tyś się zarumieniła i podobno zgadła.

Wtem świnia co w pobliskiej kałuży leżała,
Gdy już dobrze wysłuchała,
Rzekła: Jasny Panie,
Słowo w słowo moje zdanie.

MAGNAT.

— — —
Pewien z magnatów — słowem że magnat nie lada,
Co to i dobrze pije, lepiej jeszcze jada,
Chcąc użyć po obiedzie wieczornego chłodu,
Poszedł do ogrodu.

Gdy umysł jego rozkoszą się poił,
Tak sobie roił:

„Jak mnie to bawi ta tłuszcza tak liczna,
Którą tak trwoży każda zmiana polityczna,
Co do mnie, zdania nie zmienię,
Strawność żołądka wolę niż sumienie.
I każdy rozsądny mi przyzna,
Że owe bóstwo, ojczyzna,
Jest to tylko urojenie.

Bo gdy spoczywam pod tych drzew chłodem,
Gdy mi ta ziemia jak dawniej kwiat rodzi,
Co mi do tego kto tam po niej chodzi,
I kto tam rządzi narodem!“

T Ł O M O K.

Le wciąż deszcze w podróży na karetę lały,
Wołał więc z tyłu tłumok że przemoknie cały.
Wziął go pan, wewnątrz wsadził, lecz kiedy w nim siedział
Zaczął się nieco wstydzić — a ktoś mu powiedział:
„Nie wstydz się — są to czasu naszego zjawiska,
Kto siedział za pojazdem, dziś się w pojazd wciska.“

ŻÓŁW I MOTYL.

Żałował motyl żółwia, że w gorącym lecie,
Musiał ciężki swój pancerz nieść ciągle na grzbiecie,
Spadły grady, leżał motyl lekki i skrzydlaty,
Żółw się wtulił pod pancerz i uszedł zraty.

DUKAT.

Ktoś się tam nad zmiennością dukata rozwodził,
Że co rok innym z pod stępla wychodził,
Co rok nosił na sobie jakieś godło nowe,
Orla, czapkę wolności, lub monarszą głowę.
„Nie skarż mnie, (odrzekł dukat), raczej pomnij o tem,
Żem zawsze został sobą i czystem był złotem.“

PIŁKA.

Jakaż to była i radość i krzyki!
Przed szkołą w piłkę grały dwa chłopczyki,
Nigdy grą tą nieznurzone.
Kiedy z nich jeden mniej zręcznym zamachem
Gdzieś ją tam rzucił nad dachem,
I na drugą padła stronę.
„Pójdźmy jój szukać!“ każdy z chłopców woła,
„Obejdźmy szkółkę do koła.“
Lecz gdy ją przyszło obchodzić,
Nie mogli się zgodzić.
Każdy przy swoim obstawał zwawo,
Ten chciał iść w lewo, to znów oba w prawo.
Kiedy ktoś z boku tak im powiada:
„Na co ta zwada?
„Idźcie jak chcecie, a w czasie nie długim,
„Znów się zejdzie jeden z drugim.“
Poszli więc oba za radą im daną,
Ten po nad prawą, a ten lewą ścianą,

Ciągle szukając po ziemi.
I po krótkiej też chwili.
Nosem o nos uderzyli,
Piłka leżała przed niemi.

Czy taką pójdziesz, czyli inną drogą,
Obie do celu ciebie przywieść mogą,
Byleś był szczery i w chęci i w czynie,
I prawdy szukał jedynie.



NOŻYČZKI.

— — — — —
Rewnej mamy dwie córeczki
Wielką z sobą wszczęły zwadę.
Mama chcąc przeciąć ich sprzeczki,
Taką dzieciom dała radę:
Patrzcie się na te nożyczki,
Z dwóch są połówek złożone,
Są one jak dwie siostrzyczki
Sercem ich mamy spojone.
We wszystkim sobie podobne
Obie ostrem są żelazem,
Lecz niezdatne gdy osobne,
Strzygą tylko gdy są razem.

Tak i wam się trzeba spajać,
Nigdy z sobą nie rozdawać,

Jeśli chcecie być siostrami,
Bo gdy swary te nie miną
Zwać was będą połówkami,
Lecz nigdy jedną rodziną.



ORZECHY.

„**K**upcie dla dzieci orzechy,
Orzechy, świeże orzechy!“
Tak na wszystkie wołał strony,
Żyd ich worem obarczony.
Jakoś znęcił się w istocie
Jaś, lubiący te łakocie,
A że pięknie wyglądały
Więc zakupił wór ich cały.
Co dzień częśćkę ich odkładał,
Tłukł łupinki, jądra zjadał,
A znajdując je smaczniemi,
Niezmiernie się cieszył niemi.
Lecz gdy głębiej dłoń zanurzył,
Jakże strasznie się oburzył!
Bo żyd by zysk swój podwoił,
Najlepszemi wierzch przystroił,
Spodem pokładł liche, stare,
I zepsutych całą miarę.

Taką w świata przekonaniu
Bywa panna na wydaniu.
Ojciec, matka, wuj, ciocie,
Mówią tylko o jój cnocie.
Tają skryte wady, grzeszki,
Są to żydowskie orzeszki!...



OSIEŁ I JELEŃ.

Ocieklszy osieł z pod Bartka przemocy
Latał i brykał śród boru,
Tarzał się, wierzgał, cały błocił w kale
I „wiwat wolność!” w oślim ryczał szale.

Zbiegło się zwierząt nie mało,
Każde oczy wytrzeszczało,
I śmiech w wielkim powstał zgielku.
Sam jeleń tknięty litością,
„Głupiś (rzecze), mój osielku,
Wierzganie nie jest wolnością,
Śliczna mi wolność, żeś się w błocie zwał,
I nawierzgał i naryczał.
Nie — tyś niewolny tyś tylko rozdziczał
I w téj dzikości oszalał.“

Osieł mądrymi uderzony słowy,
Pojął swe głupstwo i nad niem się zdumiał.
Pojmąż je równie nasze wartogłowy?
Osieł, choć osieł, zrozumiał.

DZIŚ I JUTRO.

Diedwie, że stworzone były,
Dziś i Jutro się zwaśniły.
Jutro ciągle wyrzekało,
Że mu Dziś nie da się bawić.
Dziś wszystkiego użyć chciało,
A nie Jutru nie zostawić.
Rósł więc spór ten coraz żwawszy,
Aż go Jowisz usłyszawszy,
Tak rozstrzygnął w swęj wszechmocy:
Będziecie odtąd jako dzień do nocy,
Kiedy Dziś boleć będzie, Jutru dam nadzieję,
A Jutro znów zapłacze, jeśli Dziś szaleje.

Jesteśmy wprawdzie skromne i poziome,
Gdybyśmy przecież żyć was przestały,
Najprzódby liście opadło znikome,
A z czasem i dąb poległby spruchniały.

LIŚCIE I KORZENIE.

Wzniosły dąb w lesie, z ciepłej wiosny przyjściem
Młodem, zieloném umiał się liściem,
Które ztąd dumne, że się na szczyt wzbilo,

Tak wciąż sobie szeleściło:

Nasza to chwała, tak, nasza jedynie,
Że ten dąb sławny z swój piękności słynie.

Myśmy go w szatę przybrały zieloną.

I myśmy jego koroną.

Bez nas by prostym tylko sterczał słupem,

I był zeschłym drzewa trupem.

Co za niewdzięczność! co za zaślepienie!

(Mruczały od spodu korzenie)

Chwalicie siebie, a o nas milczycie.

A któż wam nadał to tak świetne życie?

Któż to przerabia, kto na szczyt wysoki

Śle wam swe pożywne soki?

Tak każda rozpacz, zwłaszcza ludowa,
Bywa i straszna i sroga,
Sama się w przepaść rzucić gotowa,
Byle swego zgubić wroga.



WĄŻ I OSA.

Bziwnież to czasem i wśród gadów roje
Zdarzają się boje.
Osa z natury zajadła,
Na łbie węża siadła,
I wciąż kłuła bez litości.
Wąż się zwija, pieni, złości,
Wspina, pręży i morduje,
Osa jak kłuje, tak kłuje.
Biedny wąż ledwie w ziemię się nie wryje,
Tarza się, syczy, i o głązy bije;
Gdy w tém nagle w swój rozpaczy,
Ciężki wóz zobaczy,
Po bliżkiej grzmiący równinie.
Pędzi więc, leci, i na drogę pada,
Pod koło głowę podkłada,
I wraz z osą ginie.

MAŻ I ŻONA.

Ząb za ząb z mężem kłócąca się żona,
Tak krzyczała rozzłoszczona:
„Obyś gdy ja legnę w grobie,
„Taką żonę obrał sobie,
„Coby wprost z piekiel przybyła,
„I szatańską córą była.“
A mąż jój na to z śmiechem zawoła:
„Wiem ja kochanko, co mi życzysz szczerze,
Cóż, gdy nikt, podług ustaw kościoła,
Siostry po siostrze nie bierze.“

NOS I OCZY.

Jako niezdolnych dla siebie ciężarów,
Niechcąc nos dłużej nosić okularów,
Zrzucił je z siebie. Ale cóż się stało?
W oczach ściemniało;
A nos, co je widzenia pozbawił,
O mur się rozbił, splaszczył się i skrwawił.

GÓRA I POETA.

Często, gdzie wiele i huku i trzasku,
W skutku rzecz śmieszna i mała,
Pewna góra zlegnąć miała;
Takiego narobiła wrzasku,
Iż każdy myślał, że z tych grzmotów, wrzawy,
Wyjdzie coś nakształt Warszawy.

Z drugiej strony, jakiś dumny
Wieszczek i młody i szumny,
Puszył się, zżymał, miotał, tupał, ciskał,
Gromem wzroku błyskał.
A każdy wołał: Cudo, cudo nowe?
Tworzy dzieło Homerowe!
Lecz cóż ta góra, co zrodził poecik?
Ona myszkę — on sonecik.

MOTYL I OSA.

Zaledwie, że poranna zaślniła się rosa,
Ssał motyl piękną różę, a brzoskwinie osa,
I tak rzekli do siebie: Przyznajmy oboje,
Że niebo dla nas złało wszystkie dary swoje.
Dla nas się to natura w te płody wysiła
W te owoce dla osy, w różę dla motyla.
Gdy wtém biegnie Terenia, zaledwie przypadła,
Przystroiła się w różę, a brzoskwinie zjadła.

OSEK.

Zagłuszał ciągle oset pszeniczkę na niwie
Gospodarz go przy ziemi przycinał troskliwie,
Co rok przecież na wiosnę, zaczął się zielenić:
Nie dosyć złe przyłamać — trzeba wykorzenić.

KRUK I WRÓBLICA.

Siedź sobie cicho i ptaków nie gniewaj,
„Śpiewaj jak słowik, lub wcale nie śpiewaj“
Tak pochopny do nauczek,
Rzekł do żony wróbla kruczek.
A ta mu na to odpowie;
W swojej ptasięj mowie:
„Wyrównać słowikowi próżne to nadzieje,
„Dla niego brzmiące i lasy i knieje,
„Wonie i rajske gaiczki.
„Sława to wielka,
„Nie dla wróbelka,
„Zwłaszcza samiczki!
„Lecz że i jój z darów losu,
„Dostało się trochę głosu,
„Czemuż sobie nie ma nucić,
„Piosnką się cieszyć lub smucić?

„Wreszcie cóż to szkodzi komu,
„Że czasem zaświergoce — i tylko przy domu
„Że tym śpiewem dzień osłodzi,
„Krótką sobie rozkosz sprawi,
„Wróbla swego rozpogodzi
„I dzieci w gniazdku zabawi?“

Jak różne drzewa,
Tak różne owoce.
Niech słowik śpiewa,
A wróbel świergoce.



STAŚ I CIEŃ JEGO.

 dzień pogodny, czysty, jasny,
Gonił Stasio cień swój własny,
Ale próżno, jak wiatr śmigał,
Nigdy cienia nie prześcigał,
Gdy wtém nagle myśl odmienia
Chce od swego uciec cienia,
Leci, sił swych nie oszczędza,
Lecz go zawsze cień dopędza,
Groźno z nim się kłóci, bredzi,
Stasio usiadł i cień siedzi,
Stasio biegnie i cień bieży,
Stasio upadł, cień z nim leży,
I tak cały dzień przetrwoni
Ni uciecze, ni téż zgoni.
Istotnie pono obraz to człowieka,
Lub ściga marę, lub przed nią ucieka.



M A Ł P A.

Raz stara małpa, co już ledwie laźła,
Prześliczny orzech znalazła.
Nuż więc do niego, sili się i męczy,
Gryzie go, gryzie do koła,
Lecz widząc że mu nie zdoła,
Krzywi się, marszczy, wzdycha, płacze, jęczy,
I tak nad światem boleje:
„Cóż to za czasy nastały?
„Wszystko się, wszystko, coraz gorzej dzieje.
„Orzeszki nawet stwardniały!”

NA BAJKĘ.

Bajka jest istnym róży obrazem,
Bo ma jej kolce i woń zarazem.

CHWAŁA BAJEK.

Można i drobną bajką zyskać poklask świata,
Ptaszek małemi skrzydły aż pod niebo wzłata.

IX.

HEU, QUANTO MINUS EST CUM RELIQUIS
VERSARI, QUAM TUI MEMINISSE.

Gdzieżeś, ach gdzieżeś dawne szczęście moje?
Gdzież jest ta postać z anielskim urokiem,
Co niegdyś przez te głośnie świata roje
Cichym skromności przepływała krokiem.

Jak gdyby Bóg sam powierzył jój łonu
Bliski, tajemny wyrok jój zatraty,
Zimne przeczucie wiosennego zgonu,
Zwarzyło dla niej wszystkie życia kwiaty.

Próżno ją, próżno, świat swym wdziękiem wzruszał
I wszystkie serca miłość swoją niosły:
Miała kwiat szczęścia — lecz go cierń zagłuszał,
Miała i dzieci — lecz nie dla niej rosły!

Tam u stóp krzyża w wieczornój godzinie,
Codzień przez długie zwykła klęczeć lata;
Jak mgła na wonnój wisząca roślinie,
Tak wiewna z ramion jój spływała szata.

Czoło jój ciężkie chyliły marzenia,
Ciemne się włosy w długich pasmach lały,
Płakało serce, a korne cierpienia
Z drzącą się skargą przed swym Bogiem ślały.

O jak tam z duszą wznosząc się żałosną
Głos jój się wzmagał — i znów słabiał — ginał,
Z imieniem mojem — prośbą zabrzmiął głośną,
Z imieniem dzieci — we łzach się rozplynał.

I gdzież jest teraz? — ściał się zdroj czystości
Nigdy ziemskimi nie zaćmiony pyły,
I tyle wdzięków — nadziei — młodości —
Dla zimnój tylko zakwitło mogiły.

Uszła już, uszła z łzy i troski swemi
W ciszę zaświecia — w wiecznych pociech raje:
Tak szybko po tój przewionęła ziemi,
Jakby w ojczyste powracała kraje.

Gwiazda to górne strojąca błękity,
Chwilę się w mętnój przejrzała głębinie —
Cień to od lotu anioła odbity,
Cicho się po łez przesunął dolinie!



NA POWĄŻKACH PRZY GRÓBIE ŻONY.

Jakież życie otacza ciche śmierci pole!
Kilka kroków przedziela płochość i niedolę.
Ja nad drogim mi grobem łzy rozpaczy ronię,
Tam wszystko kwitnie szczęściem i radością plonie.
Ach! ileż tam obrazów próżności przelata,
Z całym dymem i wrzawą nawałnicy świata;
Grzmiały rydwany stołeczne wzdłuż murów cmentarza,
Nie wstrzyma ich płacz sierot, ni prośba nędzarza,
Jak gdyby nie mijali umarłych dziedziny,
I nie tu spoczywały ich ojce i syny.
O żono, droga żono, matko moich dzieci —
Może mnie tam niejeden błąd w twych oczach szpeci,
Możem nie dość twym cnotom winnej składać cześci,
Niedość kwiatów pociechy wplatał w cierń boleści,
Tój jednej przecież krzywdy nie wyrządzą tobie,
Bym łzy żalu na twoim nie zostawiał grobie;

Niechaj inni od przykrych im pamiątek stronią,
I by uciec wspomnieniom, za nadzieją gonią —
Dla mnie całą rozkoszą opłakiwać ciebie,
Tu cię szukać mym żalem, a nadzieją w niebie!

DO PRZYSZŁEJ SYNOWEJ.

Serca mego nowe dziecię,
Zosiu, oczom, duszy miła:
Tyś ostatnie życia kwiecie
Już nad grobem mi uwiła.

Mnóstwo strat się w życiu zniosło,
Mało serca ran zawarło,
A co bujnym kwiatem rosło
Albo zwiędło, albo zmarło.

Lecz kto silnie z Bogiem trzyma,
Temu wiele odmłodnieje;
Tak i teraz moja zima
Waszem słońcem się ogrzeje.

Wami dzień się mój rozświeci
I noc błogą zleje ciszę;
A pieśń szczęścia dobrych dzieci
W snach mnie złotych ukołysz.

O! spiesz w dom nasz, w te podwoje,
Gdzie cię radość łąą powita,
Gdzie zgadując litość twoją
Już się nędzarz o cię pyta.

Pójdź ukochać lud téj wioski,
Syny to są wspólnej ziemi,
Słuchaj głosów żalu, troski,
I niekiedy zapłac z niemi.

O! z nich każdy, w czas niedługi,
Serce z sercem twem zaślubi,
Panią tylko widzą sługi,
Sam chłop *matką* zwać ją lubi.

Wchodź usłanym w kwiaty progiem,
Spiesz w dom nowej ci Luboni,
Z młodem szczęściem, starym Bogiem,
Z dłonią w syna mego dłoni.

Tak, gdy pełny zdrój łask tryśnie
Które ojcu Bóg objawi,
Daj mu rękę — niech ją ściśnie,
Czoło — niech je błogosławi....

r. 1847.



DO CÓRKI.

Przed urodzeniem pierwszego wnuka.

— — —
Jeszcze słońca nie ujrzało:
A już ciebie marzę, roję,
Jak tam będziesz wyglądało
Wnucze ty moje!

Anioł na młode nadzieje
W młodym ranku zajaśnieje,
I słowik się ozwie z gniazdka;
Młody, wdzięczny kwiatek błysnie,
Młody, cichy strumyk tryśnie,
I młoda zrodzi się gwiazdka,

Ranek wszystkie serca zbudzi,
Śpiew słowika słuch ułodzi,

Anioł ku ziemi uleci;
Łza radości kwiat omyje,
W źródle się niebo odbije,
I gwiazdka szczęścia zaświeci.

Ach Maryniu! ten poranek,
Ten aniołek, ten kochanek,
I tych marzeń roje,
I ten kwiatek i strumyczek,
I gwiazdeczka i słowiczek, —
Dziecię to twoje!



MATKA PO STRACIE SYNKA.

„Stań się wola Twoja.“

G! kiedy na tym tak smutnym padole
Rozmyślam wszystkie nasze łzy, niedole,
Dziecinko moja, czysta i niewinna,
Jakżebym w duszy cieszyć się powinna,
Że Bóg aniołkiem zabrał cię z powicia,
I tak od reszty uwolnił cię życia!

Czemuż jednakże gdy szczęście twe marzę
Ciesząc się myślą, sercem moim skarżę,
I tak upornie żalem, łzami memi
Wciąż cię tu ściagam, od nieba do ziemi?
Ach! bo jest jakaś nić tajemna, skryta,
Wysnuta z serca, do niebios przybita,
Jakiś uroczej gwiazdki promyk drżący,
Dziwnie z łzą matki dziecię jej wiążący.....

Tym to promykiem, tą nicią tajemną
Łączę się z tobą i ty spajasz ze mną.
Po nich to moja skarga cię dopływa,
Mój żal, tęsknota — nawet prośba tkliwa,
Którą tam twoja rozrzewni się dusza;
Boć i Bóg modły Swój matki się wzrusza.

Kieruj tam z góry, kieruj siostry twemi,
Aniołku niebios, aniołkami ziemi;
Wiedź je przez wszystkie złe i dobre losy.
Prowadź po ziemi, a wskazuj w niebiosy!
A gdy cię dojdą skargi me bezsenne,
Roztocz nad matką skrzydła twe promienne,
I strząsaj na mnie, w serca mego boju
I kwiaty pociech i rosę pokoju.



DO WNUCZKI IZI

w pierwszą rocznicę jej urodzin.

— — —

Jak przelot ptaszka, jak pieśń wybrzmiała,
Jak żeglujący w górze obłoczek,
Tak już część twoich dni uleciała,
I pierwszy spłynął już roczek.

Będą tak mijać lata po latach,
I ocząt twoich łzą nie osmucisz;
Aż się tam kiedyś śpiąca na kwiatach,
Na cierniu życia przecucisz.

I tyś aniołku stworzon do krzyża;
Patrz jak ta dzika, światowa burza,
Aż do kolyski twojej się zbliża,
Złoty twój ranek ochmurza.

Źródełko naszych obaw, nadziei,
Wytrysłoś wśród téj czarnej nawały;
Ileż to może słót i zawiei
Zmąci wód twoich kryształy!

Nie smuć się przecie — nie lękaj losów,
Módl się z twym ojcem i matką społem,
Pacierz z téj ziemi, litość z niebiosów,
Nad twem spotkają się czołem.

Naucz się wcześniej giąć tve kolanko,
Naucz do modeł rączki tve wznosić,
Bo źle na świecie — o źle kochanko!
I o tak wiele masz prosić.

Czystiejszój prośby Bogu tam trzeba,
A nas tak wiele grzechów tu szpeci,
Próżno jęk winnych bije o nieba,
Niewinne módlcie się dzieci!

r. 1850.



IZIA OJCU W DZIEŃ IMIENIN.



Smutnie odbija ta kwiatów korona
Przy serca twego żalobie.
Przyjmij ją przecież, przytul do łona
I złóż na Mamy grobie.



NAGROBEK SYNOWI JEDNOROCZNEMU.

(Z angielskiego.)

Nim z niewinności rozebrał się szaty,
Anioł go śmierci przytulił do siebie;
Wziął pączek róży — w górne uniósł światy
I kazał kwitnąć mu w niebie!

DO WNUKA.

O nie plam dziecię moje twój duszy tak czystej,
Wonnój jak kwiat ołtarza, a jak łąa przejrzystej,
Bądź nam świtem poranku, co słońcem rozdnieje,
Niech słodkie ust twych słowo tak się zawsze leje
Jak wdzięk fletni pasterskiej. Bądź w każdej godzinie
Gołąbkim w pośród dzieci, aniołkiem w rodzinie.
Wprawiaj się w drobne cnoty, wprawiaj dziecię lube,
Aby ojciec mógł w tobie swą przeglądać chlubę.
A kiedy nad poziomsze już wzniesiesz się dziatki,
I główką już dorosisz aż do serca matki,
Obyś wówczas usłyszał jak radośnie bije
Że jój duszka tak droga podług Boga żyje.

OSTATNIE DŹWIĘKI.

1. Wiosna.

Zycie się z ziemi trawką wyciska,
I w całej budzi się sile,
Z każdego pączka miłość wytryska,
Boleść usypia na chwilę.

Czemuż się życiem téj wiosny nie cuję,
Co dla wszystkich tak radosna?
Może ja, może, dla tego się smucę,
Że to ostatnia już wiosna.

Słyszę ja w gaju brzmiały śpiew słowika,
Pszczółkę co nad kwiatem brzęczy,
Ale mnie głębiej głos dzwonu przenika
Co gdzieś tam z wieży mi jęczy.

r. 1861.

2. Jesień.

Wszystko zwiędło, trawki zbladły,
Zaległ ziemię liść opadły;
Wzmaga się pomrok wieczoru, —
Zimny wietrzyk mię owiewa,
Obnażone szumią drzewa,
I puszczyk huczy po boru.
Smętna myśl się w umysł ciśnie,
Z nią raz po raz łza zabłyśnie, —
Coś mnie ciągnie do stóp krzyża,
Bije zdala dzwon kościoła —
Ach! rozumiem! wszystko woła
Że i dla mnie czas się zbliża....

r. 1861.

3. Wiersz mój ostatni. *)

Boże! mój Boże! o jakże się boję,
O wieczność moję!

Tyś za warunek naszego zbawienia
Wskazał nam słodką cnotę przebaczenia:
A ja dopełnić jej nie byłem w stanie,
Bo nikt mnie w życiu nie obraził Panie!

*) Na krótko przed zgonem, kiedy ręka już nie była w stanie utrzymać pióra, Jenerał Morawski podyktował wnu-
czce wiersz niniejszy.

Tak Panie! nikt mnie obrazić nie raczył
Bym dla miłości Twojej mu przebaczył;
Srogością dla mnie ludzka dobroć była,
Bo mię tem może niebios pozbawiła.

Jestem więc Panie bez żadnej zasługi,
Nie uskarbiłem ję przez wiek tak długi;
Lękam się kary, którą mi przeznaczył:
Bo czy przebaczysz, gdy ja nie przebaczył?

r. 1861.



FRAGMENTA NIEDOKOŃCZONE.

1. Dumanie nocne.

Było to w pośród lata — o północnej dobie —
Gdy świat cały, jak gdyby stary zbrodniarz w grobie
W ciężkim śnie pogrążony dziwne widma roił.
Ciemny się błękit niebios w złote gwiazdy stroił,
A raz po raz na górnym błyszcząca namiocie
Jedna z nich odpadała i gasła w przelocie.
Rzekłbyś duszka dzieciny chrztem świętym nie zлана
I ciągle do powrotu ku ziemi skazana;
Lub też drobny aniołek, co do biednej strzechy
Rozpaczającą nędzy niesie sen pociechy.

Jakby lampa grobowa zawieszona w górze
Xiężyc zimnym promieniem przyświecał naturze.
Czarne krzyże i białe cmentarzów kamienie
Budziły w rzewnem sercu jakieś święte drzenie.

Chłodny mię wietrzyk wschodu łagodnie owiewał,
 Jakieś życie półsenne w duszę moją wlewał.
 Rosłem, rosłem tą duszą, i jak z pęt zerwanych
 Wzbijałem się do wyższych marzeń sfer nieznanych,
 Zdało się że w tę straszną, uroczystą ciszę,
 Tajemniczą rozmowę nieba z ziemią słyszę.
 Dziwne jakieś nademną ozwały się dźwięki,
 Tak słabe, jakby lutni uciszonej jęki
 Błądzące jeszcze z wiatrem: jak wśród nocnych cieni
 Smętny odgłos szemrzących po kwiatach strumieni,
 Lub szum wichru, co w gockiej uwiecznion ruinie,
 Błąka się po krążgankach i jęczy w szczelinie.
 Słuchałem — długom słuchał

2. Ojciec Karol Antoniewicz.

Fragment.

Przy grobie swój ojczyzny, sześć mogił zarazem *)
 Usypawszy z strat serca — martwym stanął głazem...
 Długo pod górą nieszczęść chwiały się niedoleżnie,
 Gdy nagle — Boże! — krzyknął, i strząsnął ją mężnie,
 Spojrzał na krzyż Chrystusa — w kornéj przykląkł cześci,
 I drugi na wzór Jego ulął z swych boleści.

*) Karol Antoniewicz stracił żonę i pięcioro dzieci, zanim wstąpił do Towarzystwa Jezusowego.

Przybił doń swe najdroższe wspomnienia na ziemi,
 I ostatnią łzą żalu zapłakał nad niemi.
 W czarną szatę pokuty odział się do zgonu,
 Duszę swą ujął w twarde prawidła zakonu,
 Ścieśnił życie, aby je w wieczności rozszerzyć,
 I bez granic ukochać i bez granic wierzyć.

Wielka chwilo olbrzymieję człowieka przemiany!
 Gdy nagle od téj ziemi Niebem oderwany
 Targa jęj węzły, depta wszystkie skarby świata,
 Sławę, szczęście, nadzieję — wszystko w proch rozmiata,
 I wśród tych zwałisk, cudem nadludzkiego męztwa,
 Na własnej swéj ruinie — stawia krzyż zwycięztwa!

O z jakąż go potęgą w silne schwylił dłonie,
 Jakaż jasność kapłańskie oblała mu skronie!
 Rzekłbyś, że świat ten brzaskiem wieczności mu dnieje
 Że z każdéj z ran Chrystusa zdroj się łaski leje,
 I aż w górze wśród chóru Archanielskich głosów,
 W wszystkich gwiazdach się radość roziskrza niebiosów,
 Patrz! Patrz! już zbrojną krzyżem podniósłszy prawicę,
 Rycerskim krokiem w Pańską wstępuje winnicę.

Jakaż godność, dostojność, jaki prąd wymowy,
 Płomiennemi z ust jego wylewa się słowy!
 Ileż się z głębi serca skarbów sypać zdaje,
 Nic nie ma w swem ubóstwie, przecież wszystko daje!...

Ale któż to świętego odpycha przychodnia!
 Lud morderców! krwią bratnią zczzerwieniona zbrodnia! *)

*) O. Antoniewicz apostołował w Galicyi po rzezi 1846 r.

Wzywa go krzyk rozpaczy, nędzy, krwi i męki,
Po borach rozeganych wdów i sierót jęki.
Grozi wzgarda, szyderstwo — nadstawił im czoła?
Ziemski strach go odciąga, lecz Bóg „naprzód“ woła.
Naprzód więc! w sam war wścieklej ciska się nawały,
Jak drugi Mojżesz w twarde serc uderza skały.
Tętni groźbą wieczności czarny mur kościelny,
Płonie w strasznym obrazie ogień nieśmiertelny.
Trwoży, łamie, druzgoce i piorunem ściga,
Słowo jego zarazem przybija — i dźwiga!

.

3. Pompei.

(Fragment.)

Czas zabija, czas wskrzesza — odgrzebał Pompeję,
I obnażył jej zgonu tajemnicze dzieje.
Leżą w smętnych obrazach liczne szczątki, ślady
Tęj wielkiej, niespodzianej i strasznój zagłady.
Zda się że widzimy jeszcze te popiołów chmury
Jak gdyby czarne śniegi sypiące się z góry,
Ten orkan bez piorunu, tę niemą nawałę,
I te w szale popłochu, przestachem zdziczałe,
Tłumy ludzi i zwierząt zmieszanych pospołu,
Brnących, zasypywanych górami popiołu.
Stosy trupów ulice i rynki zaległy
I matki — matki nawet dzieci swych odbiegły!

Tu podły lichwiarz z skarbem swym się ukryć bieży,
I oto z worem złota kościotrupem leży,
Tu obrazy rozpusty, — tam weselne grona,
I złota czara jeszcze winem napełniona.
Ucztę, lutni i wieszczów czarujące dźwięki,
W jednej chwili zmienione na krzyki i jęki,
Przestach, wycia rozpaczy, i — wieczne milczenie.
Zgasło do ostatniego wszelkie życia tchnienie,
Straszna śmierć na rozległej zasiadła mogile,
Całe miasto zasute, zagrzebane w pyle,

.
.



X.

XENIE.

Więzień.

Każdy z nas dostojnego więźnia w sobie kryje,
Kto go ciągle wyzwala ten jedynie żyje.

Znikomość.

Zbyt krótki bywa przedział radości i żalu;
A śmierć tak szuka szczęścia jak piorun metalu.

Zły nałóg.

Zły nałóg jest jak mucha niczem nie pozbyta,
Odpędzasz ją — powraca — póki nie zabita.

Niebezpieczeństwo wyższości.

Jak świeca wciąż się paląc, przez swój płomień ginie,
Tak często się tu człowiek tem gubi, czem słynie.

Obce rady.

Dać się ciągle w swem życiu obcym radom wodzić
Jest to, po cudzych wschodach, chcieć do siebie wchodzić.

Cnota.

Dopóki cnota ludzi edznacza na ziemi,
Dopóty zwać się jeszcze nie mogą dobremi.

Bieg dziejów.

Raz — jednego człowieka nie złożysz z tysięcy;
Drugi raz — jeden człowiek jednym światem więcej.

Głos ostatni.

Dźwięk dzwonu pogrzebnego po nad trumną Sławy
Ostatnim już jest głosem wielkiej świata wrzawy.

Raj.

Dopóki przez dwóch ludzi raj był zamieszkany,
Dopóty tylko istniał i rajem był zwany.

Kłótnia.

Zawsze nas widok kłótni na cichszych zamienia
Tak blask pożog pomaga do pożog gaszenia.

Jutro.

Kto całe życie jutro swego szczęścia czeka
Temu zawsze dziś słońce chmurami powleka.

Perspektywa.

Na nic ci perspektywa we śnie się nie przyda,
Tylebys przez nią widział co w wierszach Norwida.

Natura Boga.

Nie będzie listek drzewem, ani drzewo listkiem,
Sam Bóg tylko jest razem Jednością i Wszystkiem.

Cudzy grzech.

Nie pytaj o grzech cudzy — mniejbys sam się cenil,
I ludzkiej się natury sam w sobie rumienil.

Skrytość.

Jak się na jednym cieniu drugi nie odbije,
Tak się łatwo brud duszy w tajnym życiu kryje.

Boje.

Na co te krwi potoki, te trupów tysiące?
Cóż zostało z Farsali? — jedno słowo brzmiące.

Wdzięczność.

Winni ci wdzięczność, — mówisz — krzywdzące to długi,
Jeżli żadasz zapłaty, znizasz się do slugi.

Małe życie.

Nie jesteś bliższym Boga, że stoisz na szczycie
Można i małym życiem, Wielkie kupić życie.

Węzeł wieczysty.

Wszystko się tutaj splata, życiem wiąże błogiem
Ty z domem, — dom twój z krajem — kraj z światem
[tem — świat z Bogiem.]

Trwałość.

Co nie ciągle istnieje, to z czasem ustawa,
Dłużej tu ptak poleci, niż największa sława.

Niebo i ziemia.

Unoś w Niebo człowieka, lecz zostaw na ziemi,
Bo tu je tylko może zdobyć czyny swemi;

Na ziemi to nam rosną zasług naszych plony,
Na niej drzewo do krzyża i cierń do korony.

Dziewice.

Nieba czystość, wstydlivość na imie wam dały
Nie utracieć go w świecie, nawet za świat cały.

Litość.

Niech twe serce nieznany nawet w pomoc leci;
Wszakżeś słońcu nieznany, a przecie ci świeci.

Modlitwa.

Gdy człowiek Boga swego w modlitwie przyzywa,
Co się wtenczas w nim dzieje — to modlitwą bywa.

Cieężar życia.

Nikt w świecie pod ciężarem życiaby nie dożył,
Gdyby Bóg go na lata i dni nie rozłożył;
Nie dźwignie człowiek dębu zwalonego w lesie,
A dziecię w drobnych szczypach do domu go zniesie.

Cecha wieków.

Każdy wiek na pół w ślady zeszłego wstępuje,
I na pół, drogę nową, przyszłemu toruje.

Wyższość.

Nie dość żeś zacny — w wyższej zajaśniej ozdobie,
Przez czyn piękny, człowieka uzupełnij w sobie.

Cierpienia urojone.

I fantazy także ma swą boleść, jęki,
Nie przewyższa jój cierpień rzeczywistość męki.

Cóż mi potém, że spiam z obuwiem na nogach,
Gdy we śnie ciągle stąkam po cierniach i głogach.

Skąd gadatliwość.

Kobieta wiele pyta — ztąd powiada wiele.
Jak wiatrak, co weń wsypią, to natychmiast miele.

Nadzwyczajność.

Nie wierz nadzwyczajności — plód to niezdarzony.
Dąb — karzeł bezowocny i u pnia skrzywiony,
Wciąż on się z wiatrem szarpie, w ciągłym miota szumie,
I same tylko dziczki z siebie puszczać umie.

Ułuda.

Napróżno się fałsz pięknym pozorem uwodzięca
Tak błąd stoi przed prawdą, jak przed słońcem tęcza.

Wieczna skarga.

Zawsze ta sama skarga brzmi w ustach człowieka,
Na starość, że nadchodzi, młodość że ucieka.

Przebudzenie.

Wtenczas się tylko człowiek na dobre precuci
Kiedy wzrok swój z przeszłości, na przyszłość przerzuci.

Zbytek drażliwości.

Razi cię widok nędzy, spotkać się z nią boisz,
Spojrzyj w siebie, a pewno z nędzą się oswoisz.

Nadzieja.

Czemuż każda nadzieja zwykle tak trwożliwa?
Bo najczęściej dziecięciem nieszczęścia tu bywa.

Myśl dobra.

Nieraz jedna myśl dobra w dziecię wkorzeniona
Nie da mu w dalszej drodze wyboczyć na lewo.
Jedna drobna gałązka w dziki pień wszczepiona
Całe uszlachetnia drzewo.

Ciemny styl.

Ciemnych pism jak zmaconej wody nienawidzę
Co ztąd zda się głęboką, że jej dna nie widzę.

Doświadczenie.

Z mądrych słów doświadczenia korzyści nie wiele:
Piękne miewa kazania, lecz w pustym kościele.

Szybkość potwarzy.

Potwarz, co najzacniejszych swoim bryzgą błotem,
Jak wiatr, strzała, błysk gromu, szybkim pędzi lotem,
Lecz choć leci, umyka — nie uciecze przecie;
Zawsze ją Prawda goni i na proch rozmieci.

Budowa świata.

Sam człowiek gmachu świata skończyć nie dozwała,
Bo co jeden zbuduje, to drugi rozwała.

Podobieństwo.

Życie ludzkie podobne do życia rośliny:
Myśl pączkiem, słowo kwiatem, a owocem czyni.

Upadek i wzrost.

Zacny schodzi z godnością, a podły z natury
Wtenczas się nawet czołga, gdy się drze do góry.

Sprzeczne uczucia.

Dziwna sprzeczność jest uczuć dziewic w dniach zameścia.
Szczęście pełne boleści — boleść pełna szczęścia.

Nadzieja pychy.

Górna pychy nadzieja jest jak orzeł śmiały
Co się wzbija nad Tatrów niebotyczne skały.
Lecz właśnie gdy najwyższym wybuja już lotem
Niewidomy go łowiec celnym sięga grotem,
I ów król napowietrzny, co tak dumnie włada,
Jak prosty ptak ubity z wstydem na dół spada.

Dary życia.

Masz wielkie dary życia, zostaw nam drobniejsze,
Tem mniej ci świeczek trzeba, im słońce jaśniejsze.

Obraz małżonków.

Codzień się, codzień silniej kochali oboje,
Aż na koniec i miłość pokochali swoje.

Cierpliwość.

Cierpliwości na ziemi uczą nas zmartwienia,
Cierpliwość zaś dobroci, dobroć przebaczenia,
Przebaczenie znów do bram niebios nas przywodzi,
Tak jeden skarb zdobyty, tysiąc innych rodzi.

Moda.

Nieszczęście nawet modzie podlega u ludzi,
Młode — rzewni, rozkwila, — zestarzałe — nudzi.

Porównanie.

Czem jest wino w naczyniu, tem klasy w narodzie:
Z wierzchu szum — w środku czystość — a drożdże na
[spodzie.

Miły ciężar.

Dziewięć miesięcy matka w łonie nosi dziecię,
Na rękę — póki małe, w sercu — całe życie.

Dwie podróże.

Młodzieńcze! dwie podróże czekają na Ciebie,
Jedna z duszy w war świata — druga, powrót w siebie.

Starość.

Człowiek jest jak ten owoc co drzewa pokrywa:
Im starszy i dojrzalszy, tem też słodszy bywa.

Z chińskiego.

Zapomnij błędów bliźnich, gdy jesteś z bliźniemi,
A kiedy sam zostaniesz — rozmyślaj nad nimi.

Ktokolwiek z dobrej chwili nie korzysta,
Wkrótce na drodze znajdzie przeszkód trzysta.

Kto w pierwszym kroku na jeden włos zboczy,
Nim dojdzie celu, tysiąc mil odskoczy.

Z angielskiego.

Gonitwa za płonnemi świata marzeniami
Zaczyna się płochością, a zakończy łzami.

Z Szyllera.

Czemuż Geniusz z Gustem tak się rzadko spoi?
Tamten gardzi wędzidłem, ten się mocy boi.

Z św. Franciszka Salezego.

Skupiaj całego ducha i w Bogu i w ciebie,
Zawsze Go znajdziesz dobrym, zawsze nędnym siebie.

Tegoż.

Chcesz dobrze żyć na ziemi, wyobrażaj sobie
Że dusza twoja w niebie, a ciało już w grobie.



NAGROBK I NAPISY.

Księdzu Antoniewiczowi.

Z krzyżem w ręku nad polskim górujący ludem,
Starłeś go i podniosłeś słowa twego cudem.
Krzepiłeś go w niedoli nadzieją i wiarą,
Dla niegoś żył jedynie i dlań padł ofiarą.
Dziś cię szuka w twym grobie, przez łzy widzi w niebie,
I modląc się za tobą, modli i przez ciebie!

Elżbiecie White.

Wzorem będąc cór, matek, trudnych cnót przykładem,
Ciernistą poszła drogą za Chrystusa śladem.
Jak Jego, tak jój działem na tój było ziemi,
Krzyż dźwigać, kochać, cierpieć i płakać z biednemi.

Niewidomój wieśniaczce.

Bez szemrania na losy, choć ciemna z powicia,
Przeszła kornie z swym krzyżem całą drogę życia,
Żyła w pracy, czystości, wierze, modłach, skrusze:
Noc jój oczy zalała — Bóg rozjaśnił duszę.

Pułkownikowi Niegolewskiemu.

Całą młodość przewalczył w różnych polach chwały,
Mężnie wszelkie na kraj swój odpierał napaście,
Najwyższą przecież po nim pamiątką zostały:
Wieniec Samo - Sierry — i ran ośmnaście.

K. W.

Dzieciom, sługom, włościanom zarówno ojcował,
Wiązał ich łagodnością, słodyczą panował;
I całe życie przykład tych cnót dawał z siebie,
Co tak ciche na ziemi — a tak głośnie w niebie.

Pod portretem Kajetana Koźmiana.

W ósmym lat swych dziesiątku lutni nie zawiesił,
Siebie, dzieje i prochy Czarnieckiego wskrzesił,
I tak w pieśni, jak tamten w polu bitew śmiały,
Zlał dwie nieśmiertelności w jeden posąg chwały.

Na obraz matki z dziećciem.

O jakże ciężka boleść serce jój przenika
Jak długi, jak bolesny wzrok w to dziecko wryła;
Czuje, że do swych piersi tuli niewolnika,
Polka, co królów rodziła!

~~~~~

**Napis na drzwiach.**

Ilekroć w twój komnacie stąpasz, marzysz dumnie,  
Pamiętaj, że z niej kiedyś wyniosą cię w trumnie.

~~~~~

Napis na głazie pod krzyżem.

Kłękni — i w rzewnych modłach u stóp tego krzyża
Tak się podnoś do Boga, jak Bóg do cię zniża.

— o o —

EPIGRAMMATA I FRASZKI.

—

Na E.

Nie zawsze myślą poszczyci się zdrową
Głowa co z saméj nauki jest znaną;
Wszak i kapusta cała jest głową
Przecież zawsze kapuściana.

~~~~~

**Na . . . . .**

Starzec który o dawnych miłostkach mi prawi,  
Uśmiecha się wspomnieniom, lub je łzami zlewa,  
Jest to dziecko, co z garstką popiołu się bawi,  
Którą wiatr śmierci rozwiewa.

~~~~~


Na zbiór wierszy różnych poetów.

Jakież tu wieszczów mnóstwo niesłychane
Laury i chwasty obok siebie wzrosły.
Wszystko jak w Arce Noego zmieszane,
Ludzie i osły!

~~~~~

**Na autora paszkwilów.**

Dziwi cię to oszczerco, że za podłą pracę —  
Żądaniem dowcipnego nazwiska nie płacę;  
Tak działasz — boś do wyższych niezdolny jest rzeczy,  
Żaba śpiewać nie umie — to przynajmniej skrzeczy.

~~~~~

Na S cenzora.

S chcąc zaciemnić Jagiełłów krainę,
Do tego stopnia światła nam zabronił,
Że nawet swoją błyszczącą łysinę,
Rudą peruką zasłonił.

~~~~~

**Na K . . . . .**

Jak ów Rzym szukający zkład niegdyś pochodził,  
Początek swego rodu z wilczyce wywodził;  
Tak kiedyś i K . . . . . linia wysoka  
Dojdzie aż do cielęcia, które struło smoka.

~~~~~

Na Doktora.

Chcąc ci grzechu oszczędzić, twych lekarstw nie piję,
Lepiej że mnie choroba niż doktor zabije.

~~~~~

**Na E.**

Nudno mi gdy z Elżunią siedziemy oboje,  
Bo to ani sam jestem — ani też we dwoje.

~~~~~

Na Sensytywkę czytającą.

Jak smutne w tym romansie są kochanków dzieje!
Nazbyt czuła, nad każdą jego płacząc kartą
I jeźli się nie myślę, już ja pono leję
Łzę tysięczną sześćsetną pięćdziesiątą czwartą.

~~~~~

**Bal dla ubogich.**

Spieszył na bal ubogich jakiś Panicz modny,  
Zastąpił mu zebraczek i nagi i głodny.  
Nie przykrz się, rzeczce Panicz, widzę żeś w potrzebie,  
I dla tego też idę — tańcować dla ciebie.

~~~~~

Sława poetyczna.

Sława, co życie ludzkie przedłuża za grobem
Dwojakim dzieła wieszczów rozgłasza sposobem.

Z dwóch stron sobie przeciwnych dwie trąby przytyka,
Jedną głosi Szekspira a drugą Jaxika.

Na Basię.

Że kobieta z kości swój początek bierze
Mocno temu wierzę;
Bo i Basia swoją złością
Stanęła mi w gardle kością.

Na Ranek pewnego Poety.

Mój ty szczególny Apolla kochanku!
Kto tylko wiersz twój przeczyta
Przyzna zapewne, że nie w twoim Ranku,
Ale w twojej głowie świta.

Na kogoś.

Skądże ta drobna świeczka tą pychą nadęta
Jak gdyby oświecała ziemię i niebiosą?
Niech świeci, lecz i o tém w swój dumie pamięta,
Że jęj można utrzyć nosa.

Gaskonady.

Spotkały się raz z sobą dwa sławne Gaskony.
Rzekł tanemistrz: jam tak lekki jak puszek zdmuchniony,

Nigdy ja pyłem ziemi stóp moich nie brudzę,
A gdy skoczę do góry, w powietrzu się nudzę.
— A ja, fechtmistrz zawoła, takem doskonały,
Że nie raz wśród największej deszczowej nawały
Tak szybko szpadą macham, a tak zręcznie, składnie,
Że kropla nawet deszczu na mnie nie upadnie.

Exkuza pijaka.

Spileś się — i w niedzielę! rzekł pan słudze swemu.
A ten na to: mój panie, czyż ja winien temu?
Człowiek chodzi za nosem — stokroć więc szczęśliwy
Kto ten nos dostał prosty — mój nieszczęściem krzywy.
Krzywo też ciągle chodząc, często się zawodzę,
Chciałbym wniknąć do kościoła, a do karczmy wchodzić.

Pan i ksiądz.

Dobrze uczysz, lecz innyś w czynie, inny w słowie,
Tak Pan Piotr ksiądz swego nie przestawał winić,
— „Podwójnie cię więc uczyć,” skromny ksiądz odpowie,
„Czynem czego unikać, a słowem co czynić.” —

Wiersz na prędcę.

Na twą pierś białą upadł śnieżek mały,
I nawet bielszym od niej być się mienił:
Lecz wkrótce błąd swój poznał zuchwały,
I z żalu w łzę się zamienił.

Do * * *

Nieznane mi są myśli tajemnicze
Tym, którzy patrzą na ciebie.
Lecz ja, ilekroć patrzę w twoje oblicze,
Natychmast marzę o Niebie.
Pogodą jego czystość twojego czoła,
W głosie dźwięk jego litości,
W uśmiechu dobroć Anioła,
A w oczach zorza wieczności.

~~~~~

Strzał cichy. — (Zagadka.)

Jest strzał cichy, lecz tak silny,  
A tak pewny, nieomylny,  
Że nigdy ofiar nie mija,  
I odrazu je zabija.  
Ale co dziwnie przenika,  
To, że nikt go nie unika,  
Sam naprzeciw niemu biegnie,  
Choć wie, że pod nim polegnie.

~~~~~

Przecucie.

Jak nieraz lutnia, mimo, że nietknięta,
Zabrzmi i niewie, skąd jej dźwięk pochodzi.
Tak wróżba serca tajna, niepojęta,
Nie wiedzieć z kąd się w nas rodzi.

~~~~~

Wyższe uczucie kobiety.

Żem przez cię zdradnie uwiedzioną była,  
Mogę ból ciężkiej przytłumić rozpacz:  
Ale żem wiarę w wiarę utraciła —  
Tego żal mój nie przebaczy.

~~~~~

Zwycięstwo nad sobą.

Jeśli wczoraj z żądzą w boju
Zwyciężyć ci się udało,
Możesz dzisiaj żyć w pokoju
I na jutro liczyć śmiało.
Lecz co później ciebie czeka,
Co pojutrze już wypadnie,
Tego, przy głupstwie człowieka
Sam djabeł nawet nie zgadnie.

~~~~~

Wolność.

Tysiąc mi mędrców w swych księgach dowodzi,  
Że się tu człowiek do wolności rodzi;  
Lecz ja, w fałsz taki nigdy nie uwierzę,  
Widząc, że zawsze do kogoś należę.  
W najmniejszym liście przezemnie skreślonym  
Piszę się wszystkich sługą uniżonym,  
Kaźdego Pa-nem w mojej zwę rozmowie,  
Kant mnie o b j e k t e m, król p o d d a n y m zowie.



Żyd s w y m dłużnikiem, piekarz konsumentem,  
Książd s w ą owieczką, doktor pacyentem.  
Po śmierci nawet cudzym będę łupem,  
Gdy robak grobu s w y m mię nazwie trupem.  
I toż to owa wolność okrzyczana,  
Z książ tylko mędrców, biednym ludziom znana?  
Wtenczas w nią, moi uwierzę panowie,  
Gdy piątą klepkę zabraknie mi w głowie.

#### Nie brak cudów.

Są cuda, były cuda, i przez wszystkie lata  
Tworzyć będą te cuda wielkie mędrcy świata.  
Ten mocą słowa wskrzesza zmartwiałe już duchy,  
Przez tego przejrzał ślepy i przemówił głuchy.  
Ten świętością swych nauk mnoży chleb zbawienia,  
Ten mętną wodę błędu w wino prawdy zmienia.  
Ten czartów komunizmu w brudne wpędza świnię,  
I topi bez litości w ich kałów głębinie.  
Ten z trądu Towiańszczyzny chorą Polskę leczy...  
I któż więc w naszych czasach, kto cudom zaprzeczy?

#### Wróżba urzędowania przebiegłego Suplikanta.

Kto lisią sztuką swój urząd zdobędzie,  
Ten pewno jak wilk urzędować będzie.

#### Wybór żony.

Tak o jednej i drugiej mówisz mi z pochwałą,  
Lecz nie wiesz którą pojąć czy wielką czy małą.  
Weź małą, tak ci radzi moja przyjaźń szczerą,  
Bo z dwojga złego, zwykle mniejsze się wybiera.

#### Dwóch Scypionów.

Dwóch Scypionów jedną podzieliło sławę:  
Rzymski zniszczył Kartagę, a Polski Byławę.\*)

#### Na rymokletę.

Wyczytał gdzieś Pan Hugo  
Że poeci żyją długo,  
Całe życie więc rymował,  
Dwieście tomów wywierszował,  
I jak sobie był założył,  
Całych, pełnych stu lat dożył.  
W tem tylko doznał zawodu,  
Że wiersze marły za młodu!

#### Najlepszy ucinek.

Mówisz że z wszystkich piszących w tym czasie  
Najlepsze ucinki robię,  
A ja najlepszy mam jeszcze w zapasie,  
Nic nie mówiłem o tobie.....

\*) Byława własność niegdyś Scypionów w Lubelskiem.



**Na strzelanie do Wellingtona w Paryżu.**

Chybił, choć z blizka strzelił do niego —

A wieszże czemu spudłował?

Bo za człowieka wziął go wielkiego.

I zbyt wysoko celował.

~~~~~

Na wjazd Ferdynanda do Madrytu.

Głoszą wjazd Ferdynanda okrzyki narodu,

Ciągną go przez ulice kwiatami usłane;

Tak to niegdyś i Troja do swojego grodu,

Ciągnęła bydle drewniane.

~~~~~

**Fatalność.**

Na kogo los się zawéźmie surowy.

Ten wciąż w przeciwnościach żyje!

On siedząc nawet potknąć się gotowy,

Na grzbiet padnie i nos zbije.

~~~~~

Żartokowi.

Cicha była śmierć Urbana

Właśnie gdy miał sos zaprawić,

Ziewnął nad resztą barana,

I zaprzestał trawić.

~~~~~

**Z Lessynga.**

Mówią, że włos twój czernisz — kłamliwe to głosy,  
Tyś od razu kupiła sobie czarne włosy.

~~~~~

Mateuszowi.

Żył i umarł — oto są dzieje Mateusza.

Niech teraz spocznie ciało — dosyć spała dusza.

~~~~~





## Dopisek do Bajek.

Dziwnież to czasy, w których przeciw oczewistym niedorzecznościom walczyć potrzeba. Któżby się spodziewał, że Thiers będzie musiał dowodzić istnienia własności, dowodzić w obec słońca, że słońce istnieje. Ktoby był przewidział w państwie poezyi, że apolog, ta forma przez wszystkie wieki i narody przyjęta, przez nas tylko i to aż w dziewiętnastym wieku z dziedziny jej wykluczany będzie? Wiemy w jakiej był cenie u Platona i Sokratesa, wiemy z Goetego jakie miał znaczenie za Lessinga. I nie dziw. Zastanówmy się tylko głębiej, że on był lub pierwszym źródłem z którego wszystkie inne wysnuły się formy, lub też streszczeniem wszystkich rodzajów poezyi, w nim bowiem znajdujemy dramatyczność, dyalogowanie, satyrę, opisowość, dydaktyczność, epigramma, w nim niekiedy, jak w Starcu i trzech młodzieńcach Lafontaine, elegią. Bajka wiąże obok tego świat fizyczny z moralnym, idealizuje rzeczywistość, a więc jest poezją.

Zniknął zupełnie prawie z pola poezyi żywioł komizmu. Poniechano satyrę, jak gdyby wszystko pochwały tylko godnym było i jakby takie obrazy jak Fałszywy patryota, Czciiciel złotego cielca, Samolub, Trwoniciel polskiego majątku nie uderzały nas codziennie. Wykluczono bajkę, jak gdyby prawdę tak śmiało można głosić wszędzie, iżby



nie potrzebowała słoniącej ją szaty, i jakby wreszcie świat utracił do tego stopnia wszelkie uczucie naiwności że już nawet i rozumieć go nie może. Zkądże nakoniec ta zacięłość na bajkę? zkąd to gwałtowne ścieśnianie granic poezyi? Czyż niedość na tém, że narody pozbawione bywają swych odwiecznych posiadłości, trzebaż jeszcze i państwo sztuki obdzierać z jego praw i własności, dozwałać teoretykom podobnej zgrozy? Możebym doszedł do źródła i powodu téj zapamiętałości, gdybym powiedział, że niejeden z naszych pisarzy chciałby, aby ten tylko rodzaj istniał, w którym sam pracuje a sądzi, że jest w nim znakomity.

Ucichły już Bogu dzięki nudne i głośnie zatargi klasyczności z romantyzmem. Zaciera się powoli odrębność szkół rozmaitych jako to: kozackiej, litewskiej, kijowskiej i tym podobnych. Wszystkie zaczynają się zlewać w jedną literaturę polską a naród jeniałnego przeczuwa krytyka, który jak drugi Łokietek naprawi błąd Krzywoustego.

Ale wróćmy do bajki. Mylném choć powszechném jest zdanie, że bajki tylko są dla dzieci. Bajki dla dzieci są zapewne bardzo użyteczne, lecz trzeba aby były takimi iżby nie przechodząc pojęcia dziecka podnosiły jego władze umysłowe, wprawiały je do myślenia, wzwyczały do trudu odgadywania, a takich jeszcze nie posiadamy. Bajka w ogólności wzięta, wszystkich naprawiać powinna. Jak błędy i wady są rozmaite, tak i bajka, są do czasu tylko przywiązane, są i do natury ludzkiej. Człowiek jest indywidualny, społeczny, familijny, stanowy, narodowy, polityczny, takimi też są i wady jego, takimi i bajki być powinny. Dał to już do pojęcia Krasicki w wierszu do dzieci przed bajkami umieszczonym.

Mógłbym na poparcie wartości apologa przytoczyć pokrewne z nim parable o ziarnkach rozsianych, o znalezionej perle, o zgubionej owieczce, które cały świat przekształciły, uświęciły, lecz że już tylokrotnie w naszej poezyi mieszano *sacra profanis*, niechcę tak występłą płochością pióra mego kazić. Wolę raczej zwrócić uwagę czytelnika

na szczególny pociąg do bajek w ludu polskim. Któreż dziecię nie umie bajki o dwóch czyżykach, którzy starzec słysząc ją nie westchnie głęboko? Czyż to więc z wrodzonej tego ludu skłonności czy też z położenia jego pochodzi, większa część naszych celniejszych wieszczów jako to Krasicki, Trembecki, Naruszewicz, Niemcewicz, Kniaźnin, Karpiński, Mickiewicz nawet, bajki pisali. Któż wie nakoniec czyli ta skłonność naszego ludu i jego poetów nie ztąd wypływa, że gdy nas wszelkiego życia pozbawiono uciekamy się chętnie do tego rodzaju poezyi co wszędzie życie rozsiewa, wywołując je nawet z niemych dzieci natury, i każąc czuć, myśleć, mówić, zwierzętom, drzewom, kwiatom i głazom aby w nich przynajmniej wzbudzić udział jaki.

Wykluczanie to pewnych rodzajów poezyi nie jest zupełnie nowém. Była pora gdzie równie sielanki potępiano jako już z duchem czasu niezgodne. Za całą na to odpowiedź Brodziński napisał swego Wiesława. Radbym moją pracę choć w części podobny tryumf dla bajki odzyskać.

AUTOR.

KONIEC II. TOMU.





## SPIS RZECZY.

|                                    | Strona |                                  | Strona |
|------------------------------------|--------|----------------------------------|--------|
| <b>Bajki.</b>                      |        | Filozof . . . . .                | 32     |
| Okulary . . . . .                  | 3      | Tygrys i jeź . . . . .           | 44     |
| Zając i niedźwiedź . . . . .       | 5      | Śmierć i miłość . . . . .        | 46     |
| Ryba latająca . . . . .            | 7      | Drabinka . . . . .               | 49     |
| Latarnia i świeca . . . . .        | 9      | Agatka i Jakób . . . . .         | 50     |
| Pan i kucharz . . . . .            | 10     | Jagnie . . . . .                 | 52     |
| Pies i pszczoły . . . . .          | 11     | Niedźwiadek . . . . .            | 54     |
| Skop, wieprz i koza . . . . .      | 13     | Dzieci . . . . .                 | 57     |
| Dwie chmury . . . . .              | 15     | Pokrzywa i róża . . . . .        | 58     |
| Wystrzał . . . . .                 | 16     | Nietoperz . . . . .              | 60     |
| Osieł . . . . .                    | 18     | Pan Marcin . . . . .             | 62     |
| Bębenek i róża . . . . .           | 20     | Sztuka Muślinu . . . . .         | 64     |
| Wisła . . . . .                    | 23     | Zięba . . . . .                  | 66     |
| Osieł i cielę . . . . .            | 25     | Oś . . . . .                     | 69     |
| Zając . . . . .                    | 26     | Stary i nowy kalendarz . . . . . | 70     |
| Wilk i Jeź . . . . .               | 28     | Posąg . . . . .                  | 72     |
| Kartofle . . . . .                 | 30     | Kogutek i gąsienica . . . . .    | 73     |
| Kundel . . . . .                   | 33     | Sekret . . . . .                 | 76     |
| Mysz, kot, wilk i tygrys . . . . . | 35     | Chart i kurta . . . . .          | 78     |
| Gęsi . . . . .                     | 37     | Krzak róży . . . . .             | 79     |
| Małpa . . . . .                    | 38     | Jabłko . . . . .                 | 81     |
| Żołądz i dynia . . . . .           | 40     | Konik polny i mrówka . . . . .   | 83     |



| Strona                        | Strona                        |
|-------------------------------|-------------------------------|
| Mrówka i pszczoła . . . 85    | Talar i bankocetel . . . 150  |
| Lew i słoń . . . . . 87       | Skąpiec . . . . . 151         |
| Waż . . . . . 89              | Woły . . . . . 153            |
| Suknia pradiadka . . . 91     | Utopiona . . . . . 154        |
| Swinia i chmura . . . 94      | Dwa byki i żaby . . . 156     |
| Osiel i Jacek . . . . . 95    | Apolog hiszpański . . . 157   |
| Gwóźdź i szruba . . . 97      | Dzwonek . . . . . 159         |
| Król Scytów . . . . . 98      | Dąbek . . . . . 161           |
| Dwaj łysi . . . . . 100       | Franuś i echo . . . . . 164   |
| Zebra . . . . . 101           | Tuman . . . . . 166           |
| Kura . . . . . 102            | Rzeźbiarz . . . . . 167       |
| Kot i szczur . . . . . 103    | Latarnia magiczna . . . 168   |
| Ropucha . . . . . 1 0         | Mucha filozof . . . . . 171   |
| Pojazd i mucha . . . . 111    | Zając i wyżeł . . . . . 173   |
| Szczur chory . . . . . 113    | Małpa i pies . . . . . 175    |
| Dmuchaćka i węgiel . . 114    | Kiszkowski zegarek . . . 176  |
| Żyd i osiel . . . . . 116     | Mops i koń . . . . . 179      |
| Szyna żelaza . . . . . 118    | Góra rodząca . . . . . 180    |
| Młody dąb . . . . . 119       | Flecik . . . . . 181          |
| Surdut . . . . . 120          | Szczur i żaba . . . . . 183   |
| Spekulant . . . . . 122       | Zwada . . . . . 186           |
| Wędką . . . . . 123           | Kot i Basia . . . . . 188     |
| Świątynia szczęścia . . 124   | Ptaszek i rybka . . . . . 189 |
| Osiel, małpa i kret . . . 127 | Lis i strzelec . . . . . 191  |
| Jeź i chłopcy . . . . . 129   | Słowik i róża . . . . . 193   |
| Kot i myszka . . . . . 131    | Kanarek . . . . . 194         |
| Człowiek i rak . . . . . 133  | Osiel i poeta . . . . . 166   |
| Dwór lwa . . . . . 134        | Winogrono . . . . . 197       |
| Dwa zające . . . . . 137      | Wstęp do bajek . . . . . 201  |
| Kaczka i piskorz . . . . 138  | Inny wstęp . . . . . 202      |
| Zdarzenie z nosem . . . 140   | Nałóg . . . . . 203           |
| Stal i krzemień . . . . . 142 | Frania . . . . . 205          |
| Kubek i kostki . . . . . 143  | Jaś i chrabąszcz . . . . 206  |
| Wybór żony . . . . . 144      | Izia i Heńcio . . . . . 207   |
| Słowik i królewicz . . . 146  | Róża i Pszczoła . . . . . 208 |
| Szklanka . . . . . 148        | Magnat . . . . . 210          |

| Strona                         | Strona                         |
|--------------------------------|--------------------------------|
| Tłomok . . . . . 212           | Wiersze drobne.                |
| Żółw i motyl . . . . . 213     |                                |
| Dukat . . . . . 214            | Heu quanto minus . . . 241     |
| Pilka . . . . . 215            | Na Powązkach . . . . . 243     |
| Nożyczki . . . . . 217         | Do przyszłej synowej . . 245   |
| Orzechy . . . . . 219          | Do córki . . . . . 247         |
| Osiel i jeleń . . . . . 221    | Matka po stracie synka . 249   |
| Dziś i Jutro . . . . . 223     | Do wnuczki Izi . . . . . 251   |
| Liście i korzenie . . . . 224  | Sierota ojcu . . . . . 253     |
| Waż i osa . . . . . 226        | Nagrobek synowi . . . . . 254  |
| Mąż i żona . . . . . 228       | Do wnuka . . . . . 255         |
| Nos i oczy . . . . . 229       | Próba śmierci . . . . . 256    |
| Góra i poeta . . . . . 230     | Ostatnie dźwięki . . . . . 257 |
| Motyl i osa . . . . . 231      | Fragmenta niedokończone 259    |
| Oset . . . . . 232             | Xenie . . . . . 264            |
| Kruk i wróbel . . . . . 233    | Nagrobki i napisy . . . . 273  |
| Staś i cień jego . . . . . 235 | Epigrammata i fraszki . . 275  |
| Małpa . . . . . 236            | Dopisek . . . . . 285          |
| Na bajkę . . . . . 237         |                                |
| Chwała bajek . . . . . 238     |                                |

